NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 29 października 1904 r. Nr. 5.

Śmiertelny skok z pociągu.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

4 (Ciąg dalszy).

Na ich tle ponurem rysowała się postać bladego Żarskiego, który niegdyś spędzał bezsenne noce u wezgłowia umierającej Geńci... a teraz skazany będzie do ciężkich robót na Syberyi, za zbrodnię, której nie popełnił.

IV.

Kazimierz przeszedł przez szeroko rozwartą bramę, frontowej kamienicy i znalazł się na długim podwórzu, zakończonym w głębi murem poprzecznym, za którym — w pośród ogrodu — wznosił się piękny, stary dom, rezydencya od dwóch wieków jego przodków, wsławionych w palestrze i sądownictwie: wiedzą, rozumem i prawością. Druga brama w murze była jeszcze także otwarta, lecz zaledwie młody człowiek ją minął, ręka stangreta, spełniającego obowiązki stróża, zamknęła ją na klucz. W tem, niemal wiejskiem zaciszu, do którego wrzawa wielkiego miasta dolatywała zaledwie cichem echem, tuż za murem na lewo stała stajnia i wozownia, na prawo zaś cieplarnia z egzotycznemi roślinami i domek ogrodnika. Wysokie lipy i jesiony — odarte już w tej chwili z liści przez wiatry jesienne — oraz kilka zczerniałych kamiennych posągów, tworzyły rodzaj alei, wiodącej przed fasadę niewielkiego, lecz ślicznego gmachu, zbudowanego w XVIII stuleciu, w stylu przekwitającego renesansu.

Kazimierz wsunął się powoli przez uchylone nieco drzwi do wielkiej sieni, oświetlonej wiszącą u sufitu latarnią z kutego żelaza, z kolorowemi szybami. W chwili, gdy chciał wstąpić na schody, wiodące na pierwsze piętro, stanęła przed nim w półcieniu czarująca postać kobieca.

— Ach, to ty Geńciu! — zawołał.

— Tak... Nie położyłam się spać jeszcze, bo ojciec cierpiał dziś na migrenę, więc nie chciałam go pozostawić samego. Powrócił późno z sądu, gdzie prowadził podobno jakieś ważne śledztwo. Siedzi teraz w swojej pracowni, więc ucieszy się bardzo, jeśli przed udaniem się na spoczynek, zajdziesz do niego na chwilę i powiesz mu dobranoc.

— Ależ najchętniej, droga siostrzyczko.

Geńcia wzięła brata za rękę i poprowadziła go do pokoju ojca.

Ściany gabinetu do pracy sędziego śledczego obite były ciemnym kurdybanem, na którym rysowały się interesującemi liniami ogromne, barokowe szafy z książkami i stare fotele, obite takąż samą jak na ścianach, ciemną skórą z Korduby, wyciskaną w fantastyczne, różnobarwne wzory.

Piotr Molski, dobrze zakonserwowany starzec, liczył lat przeszło sześćdziesiąt. Długie, siwiejące faworyty, okalały twarz jego o wyrazie stanowczym i energicznym. Pod krzaczystemi, szpakowatemi brwiami błyszczały czarne, przenikliwe oczy. Rzadko kiedy przestępca kryminalny wytrzymywał ostrość ich badawczego spojrzenia, wywołującego zwykle szczere, choćby nawet najstraszniejsze wyznania. Kazimierz znał ten wzrok, jak stal połyskujący — i lękał go się zawsze, obecnie zaś obawiał go się jeszcze bardziej. Jutro, wieść o morderstwie rozbiegnie się po mieście; jutro, Piotr mówić będzie o niem z synem, strach więc przejmował serce młodego adwokata na myśl samą, że drzeniem głosu i bladością czoła zdradzić się może wobec ojca, który — jako wytrawny znawca ludzi, ich wad, ułomności i instynktów, łatwo odgadnie, że Kazimierz brał udział w ohydnym dramacie.

— A! to ty? — rzekł sędzia, powstając z krzesła. — Wcześniej niż co dzień dziś do domu wróciłeś...

— Czy chciałbyś może, papo, zburczeć go za to? — spytała Eugenia, tuląc się do ojca.

— Oj, ty masz zawsze na zawołanie całą furę wyrozumiałości dla swego ukochanego braciszka! — powiedział Piotr, uśmiechając się pogodnie. Świat wie, żeś najlepszą siostrą i córką; wszyscy wiedzą także, że starasz się usprawiedliwiać błędy i wady bliźnich swoich. Podobną jesteś do matki, która była świętą niewiastą... Wydarły mi ją galopujące suchoty, które przecież ani w jej, ani w moim rodzie nie były dziedzicznemi. Przeziębiła się na pogrzebie jednej ze swych przyjaciółek... Pozostawiła mi was dwoje... Pomyśl sobie, jak okropnie przeraziłem się, gdy w sześć miesięcy po jej zgonie, ty, moja mała, zachorowałaś bardzo ciężko...

— Lecz Bóg nie chciał mnie wówczas powołać do swojej chwały. Dzięki jego łasce, i staraniom młodego lekarza, zastępującego dra Stanisława, wyzdrowiałam szybko...

— Tak, tak. Dr. Marcin Żarski wydarł cię śmierci. Wszakże tak się nazywał ów młody lekarz?

Panna Molska nie odpowiedziała natychmiast na pytanie. Chorobliwa jej bladość powlekła jej twarzyczkę i jakiś przykry uśmiech wykwitł na jej ustach. Po chwili jednak rzekła:

— Tak, zwał się Marcin Żarski. Od czasu jednak jak wyzdrowiałam, nie widziałam go wcale. Nie wiem nawet co się z nim dzieje.

— Praktykuje prawdopodobnie... może się ożenił...

— Pragnęłabym, żeby był szczęśliwy. Często... ile razy tylko przypomniałam sobie, jaki był dla mnie dobry, modliłam się o szczęście dla niego bardzo gorąco.

Kazimierz zamyślony głęboko, stał o parę kroków od siostry, ocierając czoło z występującego na nie zimnego potu.

Już nieraz zastanawiały go wspomnienia Eugenii, a obecnie pytał się siebie, czy w istocie przypadek tylko zetknął go przed godziną z Żarskim, czy nie należało raczej widzieć w tem spotkaniu palca Bożego. Ona nie mogła zapomnieć o młodym człowieku, przesiadującym niegdyś przy jej łożu w ciągu długiej choroby i następnie, gdy zaczęła do zdrowia przychodzić. Liczyła wówczas lat ośmnaście i jaśniała całym blaskiem niezwykłej krasy. Marcin miał lat dwadzieścia pięć. Mogli, a nawet powinni byli się pokochać... lecz w sercu Żarskiego gościło już inne przywiązanie. Młody lekarz ubóstwiał Klarę, skromną robotnicę, którą postanowił poślubić. Eugenia zaś kocha Marcina. Lecz zbyt skromna i zarazem zbyt dumna, ukryła miłość swoją w głębi serca, żyjącego bolesnem wspomnieniem niepodzielonego uczucia. Wobec faktu, że Marcin nie ukazywał się u Molskich, zamknęła się w niemal zupełnem odosobnieniu, poświęcając się cała na usługi ojca i brata. Ubiegano się o jej rękę wprawdzie, lecz Eugenia, odrzucając wszystkie oświadczyny, zapewniała, że czuje się najszczęśliwszą w domu rodzinnym, więc opuścić go nie pragnie. W głębi duszy uważała się za niepocieszoną wdowę, która wyjść za mąż nie powinna.

Rozdrażnienie, wywołane rozmową o Żarskim, sprawiło, że wcześniej niż zwykle udała się dzisiejszego wieczoru do swego panieńskiego pokoju.

Ojciec z synem pozostali sami.

Nie zatrzymam cię u siebie długo — rzekł Piotr Molski — bo muszę jutro rano wstać razem ze wschodem słońca. Mam teraz bardzo wiele do roboty. Nie możesz mieć pojęcia, jak niezabawnem zadaniem jest sądować sumienia ludzkie i wydobywać z nich ukryte skrzętnie tajemnice; zwłaszcza, że między zbrodniarzami nie brak i takich, którzy do popełnionego przestępstwa pod żadnym pozorem przyznać się nie chcą, więc chociaż nieraz mam prawie pewność, że podejrzenia moje są słuszne, muszę winnego wypuścić na wolność, brak bowiem materyalnych dowodów nie pozwala mi go więzić i przetrzymywać w zbyt długo trwającem śledztwie. Po krótkiej chwili milczenia, dodał tonem nacechowanym lekką ironią:

— Lecz, gdy ja pracuję, ty urządziłeś sobie życie wygodniejsze. Spędzasz sobie czas rozkosznie i bez troski... Cóż robiłeś dzisiaj?

— Odwiedzałem przyjaciół.

— I przyjaciółki... chciałeś prawdopodobnie powiedzieć, wiem bowiem, że bywasz bardzo często u pewnej młodej damy..

— Czy ojciec chciałby, żebym wychodząc z domu, prosił go o pozwolenie?

— Proszę cię nie przemawiaj do mnie w ten sposób!... Nadto, pozwól sobie powiedzieć, że mógłbyś zająć się czemś lepszem... a nie umizgać się do kobiety zamężnej.

— Masz słuszność papo. Jak zawsze. masz słuszność! — rzekł Kazimierz zmienionym głosem, a serce biło w jego piersi gwałtownie.

— Hrabina Jelska jest piękną i miłą osobą, nie przeczę; lecz starszą od ciebie... i ma męża, który może się spostrzedz, że za często przychodzisz... Od podobnego spostrzeżenia, do żądania satysfakcyi nie daleko, bardzo nie daleko. Wierzaj mi, trzeba zerwać ten niebezpieczny stosunek. narażający na szwank całą twoją przyszłość.

— Powtarzam to sam sobie od dawna, mój ojcze, lecz co może rozumowanie wobec pragnień serca?

— Kochasz ją zatem?

— Ubóstwiam!

— Prawdopodobnie widziałeś się z nią dzisiaj?

— Nie, ojcze.

— Czy tylko prawdę mówisz?

— Przysięgam, że już dwa dni nie widziałem hrabiny Jelskiej.

Kłamał — kłamał bezmyślnie i bez celu, gdyż wiedział przecie, że jutrzejsze policyjne i sądowe badanie stwierdzi niezawodnie, że bawił w pałacu w chwili spełnienia zbrodni.

— Nie jesteś dzieckiem, możesz więc bywać, gdzie ci się podoba — ciągnął dalej sędzia — a nie moją rzeczą mieszać się w podobne sprawy. Pragnę tylko, abyś unikał miłostek, obniżających charakter mężczyzny, psujących nieraz najszlachetniejszych ludzi. Jesteś przedewszystkiem dlatego na złej drodze, bo nie pracujesz. Masz dyplom adwokata w kieszeni, więc i możność spełniania najdonioślejszych misyi, jakie człowiekowi prawemu przypadają w udziale. Tymczasem próżnujesz, zapominając o świętych obowiązkach względem społeczeństwa, do którego należysz.

Podobne dyskusye między ojcem i synem powtarzały się wcale często, lecz Kazimierz, ulegający wpływowi kobiety, którą ukochał, nie myślał się poprawić.

Powiedziawszy ojcu dobranoc, wszedł na pierwsze piętro i zamknął się w swoim pokoju. Tu ogarnęła go straszna rozpacz. — Dlaczego skłamał? Dlaczego nie przyznał się, że był dziś u Jelskiej? Wszakże przyznając się, odwróciłby od niej i od siebie wszelkie podejrzenie!

Całą noc nie spał. O siódmej zerwał się z łóżka i posłał służącego po dzienniki poranne. Gorączkowo przerzucał jeden po drugim. W żadnym nie znalazł wzmianki o zbrodni.

Stało się to za sprawą Selima, który dopiero późno w nocy zawiadomił komisarza policyi o tem, co zaszło w pałacu hrabiego Jelskiego. Selim wiedział o wszystkiem, lecz po głębokim namyśle, postanowił zeznawać, że nic nie wie. Uważał, że najlepiej będzie czekać cierpliwie na bieg wypadków, pozostawiając sobie możność, w właściwej i dogodnej dla siebie porze, wyciągnąć największą korzyść z sytuacyi, jaka się w przyszłości ułoży.

Ukryty za kotarą przyglądał się ostatniej scenie ponurego dramatu, nie ruszając się z miejsca.

Mord zatem miał świadka, który mógł się stać niebezpiecznym dla aktorów, biorących udział w zbrodni.

V.

Wiadomość o zamordowaniu hr. Jelskiego rozniosła się nad ranem po mieście lotem błyskawicy. O godzinie dziewiątej przybył do obleganego przez ciekawe tłumy pałacyku; komisarz policyi z dwoma ajentami i lekarzem. W bramie, przy której rewirowy postawił dwóch policyantów, przyjął władzę policyjną Selim, reszta bowiem służby, pragnąc uniknąć badań, a następnie stawania w sądzie w charakterze świadków, rozbiegła się po kątach, lub ukryła w suterenach. Przybyli, przeszedłszy przedpokój i salon recepcyjny, znaleźli się w gabinecie do pracy hrabiego, w którym trup zamordowanego leżał dotąd na krześle, przed biórkiem.

— Pani hrabina poleciła nie poruszać ciała z miejsca — rzekł murzyn. — Kazała mi również pójść zameldować wielmożnemu panu, jakie tu u nas stało się nieszczęście.

— Przyszedłeś za późno kochanku. Powiedz dlaczego zaraz z wieczora nie zawiadomiłeś mnie o zbrodni? Opieszałość twoja ułatwi prawdopodobnie mordercy ucieczkę i nie pozwoli nam, oddać go spiesznie w ręce karzącej sprawiedliwości.

— Kiedy, proszę pana komisarza, z przestrachu nie wiedzieliśmy co robić. Koło godziny ósmej zupełnie niespodzianie, spostrzegliśmy, że pan hrabia nie żyje, więc wszyscy potraciliśmy głowy. Lataliśmy po domu, jak waryaci, z gabinetu do jadalnego pokoju i z jadalnego pokoju do gabinetu. Dopiero, gdy pani hrabina odzyskała przytomność i uspokoiła się nieco, posłała mnie z zawiadomieniem do cyrkułu, ale już było bardzo późno, więc nie zastałem wielmożnego pana...

W czasie opowiadania Selima, lekarz oglądał trupa.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł po chwili — że hrabia uduszony został sznurem, albo może chustką do nosa w sznurek skręconą. Świadczą o tem najwidoczniej ślady na szyi.

Komisarz zbliżył się do zmarłego i przyglądał się wskazywanym przez doktora sinym pręgom. Tymczasem ajenci — Piperstein i Maślak — przeszukiwali pokój skrupulatnie.

Kapelusz pozostawiony przez Żarskiego, zwrócił niemal natychmiast ich uwagę.

— To stare pudło — powiedział Piperstein — nie należało chyba do takiego jak hrabia magnata. Na podszewce stoją cyfry, które nie dadzą się przypasować do jego imienia i nazwiska. Niema nad niemi także korony...

— Kapelusz pozostawił tu morderca — odparł Selim.

Komisarz spojrzał na murzyna zdziwiony.

— To ty znasz mordercę? — spytał. — Wytłómacz się — dodał tonem rozkazującym. — Mów wszystko, co wiesz, jak najprędzej, bez najmniejszej obawy.., a zwłaszcza, nie kłam!

Murzyn drgnął mimowoli. Wzrok jego spoczął chwilę na trupie, jakby pragnął przekonać się, czy zmarły nie powstanie przypadkiem z krzesła, by zaprzeczyć temu, co chciał powiedzieć. Energia, jaką okazywał dotąd, nagle w nim osłabła. Wahał się, bo wiedział dobrze, że oskarży niewinnego. Zmrużył oczy i ocierał pot z czoła. W pokoju panowała zupełna cisza. Piperstein przypatrywał się z udaną ciekawością kapeluszowi; Maślak zaś w filcowych trzewikach na nogach, myszkował bez najmniejszego hałasu po pracowni, zaglądając pod wszystkie meble.

Selim opamiętał się szybko. Przystąpił do biórka, wziął list, leżący na niem i podał go komisarzowi.

— Niech wielmożny pan przeczytać raczy... Zaraz prawie po znalezieniu kapelusza list ten wpadł w ręce pani hrabiny...

Komisarz przeczytał pismo Żarskiej. Murzyn następnie opowiedział mu pokrótce, w jaki sposób młody doktor został przez niego wprowadzony do gabinetu hrabiego, oraz jak rychło potem uciekł bez kapelusza.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł urzędnik — że człowiek, którego tu wprowadziłeś popełnił zbrodnię. Jeśli nie umknął za granicę, dziś jeszcze dostanie się w ręce nasze.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy do pracowni weszła śliczna młoda kobieta, z włosami spadającemi w nieładzie na ramiona, przepasana w talii białym, jedwabnym sznurem. Niepokonana chęć zobaczenia zmarłego popchnęła tu Marcelinę. Od pamiętnej chwili, w której tak okrutną wywarła zemstę na mężu, czuła się jakaś senna i bezwładna. Postradała całą siłę woli, jaką się odznaczała niegdyś. Nadto, ucieczka Kazimierza, którego pragnęła mieć przy sobie, który — według jej mniemania — powinien był stać się teraz jedynym jej opiekunem i obrońcą, wywarła na nią przygnębiające wrażenie. Czyż w tak strasznej dla niej godzinie wszyscy ją opuszczą?

Jeden tylko Selim, jak wierny pies, kręcił się koło niej ciągle, a jeśli chwilami znikał, to tylko, aby czuwać w przedpokoju, żeby nikt nie śmiał



„..Zdawało mu się, że widzi na nim plamę krwi...“

przerwać spoczynku pani hrabiny. On jeden, jak dobra niańka, otaczająca ukochane dziecko staraniami macierzystemi, namawiał do przespania się choćby tylko parę godzin; on jeden wreszcie zapewniał ją nieustannie, że policya pochwyci winnego, jakby zapewnieniami swojemi pragnął ją uspokoić.

— Niewinnego raczej — myślała w duchu Marcelina — bardzo nieszczęśliwego, bo przecież utratą życia przepłaci może niepopełnioną zbrodnię.

Komisarz, zachwycony wdziękami hrabiny, stanął jak wryty.

Ona zaś, pod ognistem jego spojrzeniem, nie spuściła oczu — owych cudnych czarnych oczu, którémi podbiła Kazimierza, a które obecnie przesłaniała wilgotna mgła łez.

Urzędnik policyjny, skłoniwszy się grzecznie, starał się osobą swoją zasłaniać trupa. Poczem zaczął wymownie tłómaczyć, że hrabia będzie pomszczony, bo przestępca musi być ujęty dziś jeszcze. Widząc, że Marcelina mieni się i chwieje, prosił najuprzejmiej, by opuściła pokój, w którym widok ukochanego zmarłego wzrusza ją tak mocno i głęboko. Lecz ona, jakby przykuta do posadzki, poruszyć się nie mogła, niespodzianie bowiem i mimowoli spojrzała na sznur, opasujący jej wiotką kibić — i nagle zbladła straszliwie.

Bladość jej i niezwykłe wzruszenie dostrzegł ajent Piperstein, żyd, łapacz, jakich mało, który oddawna już złożył liczne dowody bystrości i sprytu w poznawaniu i śledzeniu zbrodniarzy. Wzrok jego spotkawszy się z wzrokiem Marceliny, biegł razem z nim w tychże samych kierunkach. Zauważył, iż oczy hrabiny zatrzymały się najdłużej na sznurze jedwabnym, stanowiącym jedną ze składowych części jej toalety. Zdawało mu się, że widzi na nim plamę krwi. Zbliżył się po cichu i zaczął mu się pilnie przyglądać. Wszakże podobne plamy pokrywają twarz i szyję trupa — nawet koszulę i kamizelkę.

Konstatując to wszystko, Piperstein milczał, lecz w umyśle jego rodziło się dziwnie silne podejrzenie. Czyżby ten, przeciw któremu gromadziły się dowody rzeczowe, oraz niemal stanowcze zeznania murzyna, nie był rzeczywistym mordercą? Ach! gdyby miał możność działania po swojej myśli... ale możności takiej przepisy prawne nie przyznawały mu wcale! Lepiej zatem milczeć... i czekać.

. . . .

W godzinę potem Maślak i Piperstein przechadzali się po Chmielnej. Młody lekarz — jak już zdołali sprawdzić — wyszedł na miasto wcześniej, aby odwiedzić paru ubogich chorych, ajenci zaś, czekali na jego powrót, to kryjąc się niekiedy w jednej z bram kamienicznych, to przyglądając się wystawom bardzo nędznych w tem miejscu sklepików.

W dzielnicy gęsto zaludnionej nikt nie zwracał na nich uwagi, znużeni jednak długiem oczekiwaniem, weszli do pobliskiej szynkowni, której okna wychodziły na ulicę, wprost niemal naprzeciw domu, w którym mieszkał Dr. Marcin Żarski. Uprzejmy gospodarz, domyślający się może kim byli w istocie, postawił na stole, przy którym usiedli, dwa pieniące się kufle piwa.

Ze sprytnie wybranego punktu obserwacyjnego dostrzegli wkrótce otwierające się okno na drugim piętrze. Ukazały się w niem główki dwóch ślicznych dziewczynek patrzących momencik na prawo i lewo. Poczem znikły — a okno się zamknęło.

— Ręczę ci, że to bachory naszego doktora — szepnął Piperstein. — Wyczekują na ojca, którego mamy zabrać do ula... Słuchaj Maślak! mam ja gwoździa w głowie. Mnie się widzi, że ten Żarski, jeśli istotnie zadusił hrabiego, to chyba w chwili jakiegoś żalu i uniesienia, gdy nawet uczciwemu człowiekowi czerwono robi się w oczach.

— Masz tobie! — rzekł drugi ajent. — Czyżbyś chciał go uniewinnić?

— Nie uniewinniam, bo na to naczalstwo nie pozwala, ale może miałbym ochotę usprawiedliwić ze względu na pędraki. I mnie Bóg dał parę bębnów, wiem więc, czegoby człowiek dla nich nieraz nie zrobił, zwłaszcza, gdy jest powód do zemsty, za krzywdę im wyrządzoną W naszym zakonie stoi: oko za oko, ząb za ząb., Dla dzieci i najpodlejszej służby podjąć się trzeba...

— Cicho bądź! — syknął Maślak. — Stróż domu, w którym morderca mieszka, tu idzie. Pewno nas pozna.

W istocie stróż z przeciwka wszedł do szynku i kazał sobie dać kieliszek wódki, a spostrzegłszy ajentów, zbliżył się do nich.

— Panowie jeszcze tutaj? — zapytał. Wszakże powiedziałem, że dr. Żarski wyruszył dziś wcześnie na wizyty i przed południem nie powróci.

— Czekamy, bo nie wiemy, co z sobą zrobić. Przyjechaliśmy dziś rano umyślnie z Lublina, żeby poradzić się na ciężką wewnętrzną chorobę..

— Na ciężką chorobę to on chyba niezdatny. Małą ma praktykę; rzadko kto go wzywa. Bieda u niego, że aż śmierdzi.

— Bryndza, powiadacie?

— Oho, i jaka jeszcze! Niema ani sługi, ani posługaczki. Dychacza stróżowi nigdy nie daje, bo wyrobił sobie u gospodarza pozwolenie na klucz od bramy i ciągle go przy sobie nosi. Z komornem to zawsze zalega, chociaż płaci kapaniną. D. c. n.

Śmiertelny skok z pociągu.

(Do illustracyi tytułowej).

Surowy zakaz, wydany przez zarządy wszystkich kolei w sprawie wskakiwania i wyskakiwania z pociągów będących w ruchu, ma swe uzasadnienie w licznych wypadkach, jakie powodują takie skoki, w wypadkach kończących się zwykle kalectwem, a bardzo często nawet śmiercią.

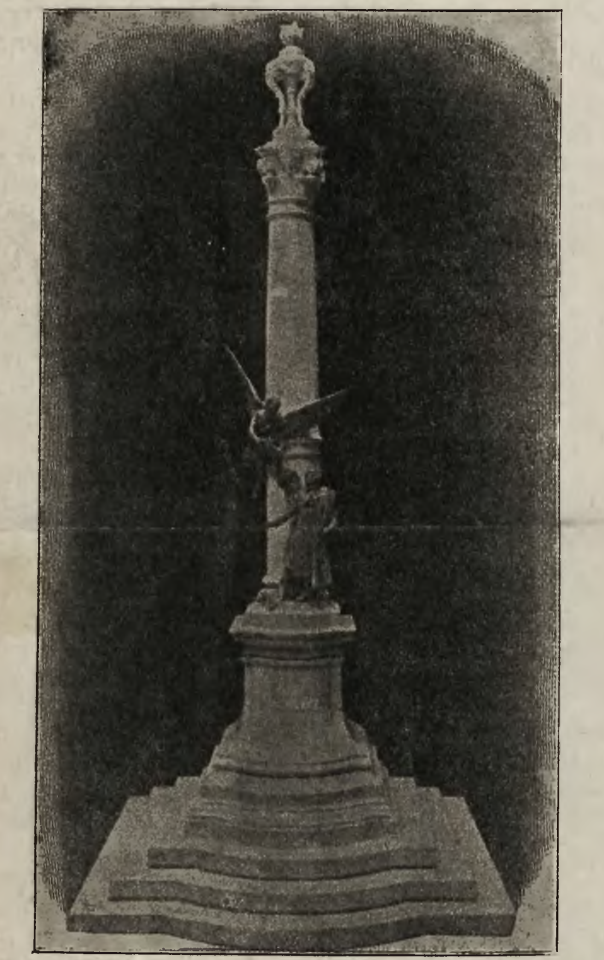
Niestety! Publiczność nie uważa na ten zakaz, nierzadko ignoruje go zupełnie, lub pod wrażeniem pierwszego popędu zapomina o nim i o skutkach, jakie taki lekkomyślny skok może sprowadzić.

To też kronikarz katastrof kolejowych ma do zanotowania najwięcej tego rodzaju wypadków...

I my dziś, spełniając nasz obowiązek, musimy powiadomić naszych czytelników o podobnem tragicznem zdarzeniu, którego widownią była stacya kolei państwowych Kłaj, leżąca na linii Kraków—Lwów.

Ubiegłego tygodnia we środę proboszcz parafii zabierzowskiej ksiądz Franciszek Krupnik wsiadł o godzinie dziewiątej rano do pociągu osobowego, zdążającego z Zabierzowa do Kłaju, chcąc odwiedzić tamecznego proboszcza, swojego najlepszego przyjaciela.

Ksiądz Krupnik nie wiedział o tem, że pociąg, którym jechał, nie zatrzymuje się wcale w Kłaju



Adamowi Mickiewiczowi – Lwów: Pomnik wieszcza wykonany według pomysłu Antoniego Popiela.

i w chwili, gdy wozy, zwalniając bieg, wtoczyły się przed tę stacyę, wyskoczył z pociągu, ale tak nieszczęśliwie, że dostał się pod koła następnego wagonu i poniósł śmierć na miejscu...

Zmarły w tak tragiczny sposób kapłan liczył lat 38 i w znojnej służbie na polu chwały Bożej niemałe położył zasługi. Uczynny, litościwy, zawsze gotów nieść pomoc materyalną i moralną tam, gdzie tego wymagała potrzeba, pozyskał sobie szczerą, serdeczną miłość u swoich parafian, a szacunek i poważanie u kolegów, przyjaciół i znajomych.

Śmierć jego okryła parafię żałobą, i smutkiem napełniła stan duchowny, któremu w jego osobie ubył jeden bojownik, człowiek bez skazy, wielkiego serca i ducha.

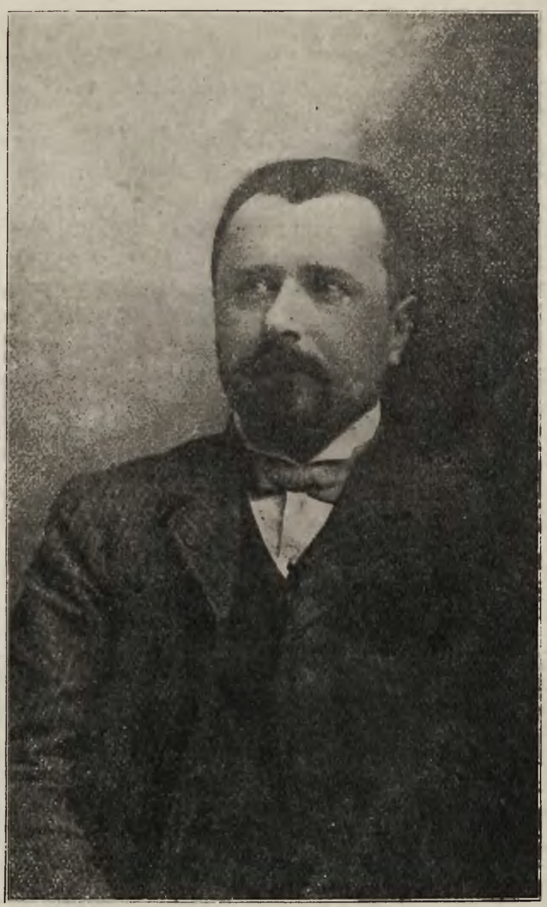
Cześć jego pamięci!...

Rycina nasza przedstawia chwilę, w której ś. p. ks. Franciszek Krupnik, wyskakując z pociągu, dostaje się pod koła wagonów.

Adamowi Mickiewiczowi — Lwów.

(W przededniu odsłonięcia pomnika.)

„Cicho!... Sercami paść na kolana ... — znowu powtórzyć będziemy mogli słowami poety, stając



Adamowi Mickiewiczowi – Lwów: Michał Rolle sekretarz komitetu budowy pomnika Mickiewicza.

przed pomnikiem wieszcza we Lwowie w uroczystej, nastroju pełnej chwili opuszczenia zasłony. Znowu tysiące oczu utkwi wzrok swój w natchnione oblicze piewcy, tysiące serc wzniesie się ponad poziom szarzyzny codziennego życia, tysiące ust czcić będzie Tego, który żył dla milionów — cierpiał za miliony.

Taką piękną chwilę przeżyją ci wszyscy, co będą mogli wziąć udział w uroczystym obchodzie, który zjednoczy i myślą jedną natchnie wszystkich bez względu na ich przekonania, na obozy, do których należą — bez względu na wiek i stan — jakby na rozkaz wieszcza-przewodnika: „Hej! ramię do ramienia!“

Tysiące ludzi z najodleglejszych zakątków wszystkich ziem polskich zapowiedziało swe przybycie, setki instytucyi wysyła swych przedstawicieli — a wszyscy oni świadczyć będą, że pieśni wieszcza „trafiły pod strzechy“, że w duszach rodaków zasiały ziarna szczytnych ideałów, że wydały, wydają i wydawać będą plony.

Zanim, jako uczestnicy, będziemy mogli podać zillustrowany opis narodowego święta — dziś w przededniu odsłonięcia podzielimy się z czytelnikami z góry ułożonym programem.

Miasto całe przyozdobione będzie w uroczystym dniu 30-go października flagami narodowemi oraz illuminowane specyalnie przygotowanemi na ten cel kartami.



Nowe insygnium rektora politechniki: Złoty łańcuch rektorów politechniki lwowskiej

Plac Maryacki, na którym odbędzie się główny akt złożenia hołdu wieszczowi, spowity zostanie w girlandy zieleni. Tuż przy pomniku stanie trybuna dla mowców.

Po uroczystem nabożeństwie delegaci instytucyi i stanów zgromadzą się w szyku pochodowym przed pomnikiem, około którego straż honorową pełnić będą „Sokoli“, uczestnicy Towarzystwa „Skała“, Związku ochotniczej straży pożarnej, oraz Izby rękodzielniczej.

Gdy zasłona spadnie przy biciu dzwonów kościelnych, gdy pomnik ubóstwianego wieszcza uwieńczą wieńce przez delegacye składane — z trybuny kilku mowców uczci pamięć poety i przedstawi doniosłość tej wielkiej chwili dla Lwowa i całej Polski.

Następnie Rada miasta podejmować będzie przybyłych na uroczystość delegatów bankietem, na którego urządzenie przeznaczono 12.000 koron.

Wieczorem odbędzie się zabawa, poświęcona pamięci wieszcza w kilku instytucyach patryotyczno-społecznych oraz przedstawienie w teatrze, które wypełnią nieśmiertelne dzieło Adama Mickiewicza „Dziady“.

* * *

W uzupełnieniu artykułu, zamieszczonego w poprzednim numerze, a zillustrowanego podobiznami członków komitetu budowy pomnika — przy niniejszem umieszczamy fotografię sekretarza komi-



Adamowi Mickiewiczowi – Lwów: Część dolna pomnika z postacią wieszcza.

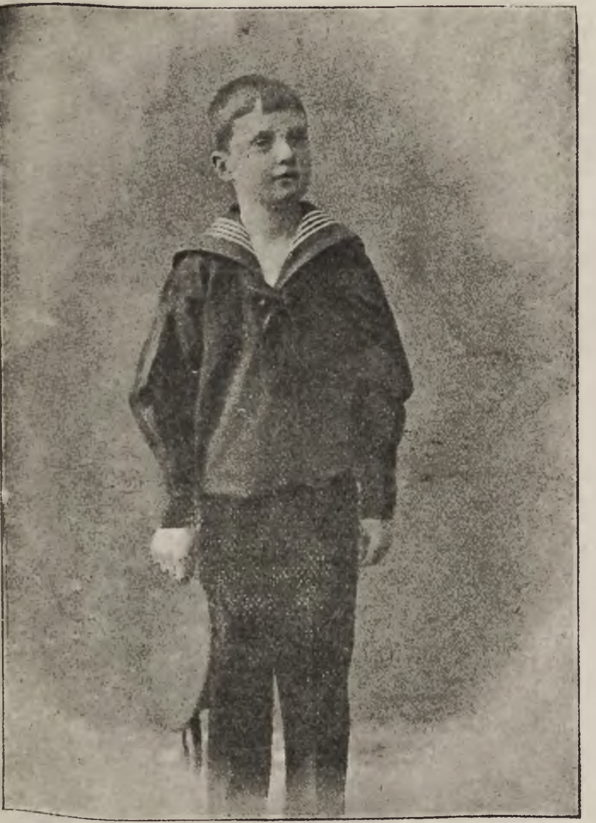
tetu p. Michała Rollego, oraz podobiznę pomnika, który w chwili, gdy pismo nasze do rąk czytelników dojdzie, ukaże się w całej okazałości wraz z postacią wieszcza, zwracającego utęskniony zwrok swój ku Litwie — ojczyznie swojej.

Nowe insygnium dla rektora politechniki.

W roku bieżącym podczas uroczystego aktu otwarcia roku szkolnego na politechnice lwowskiej, rektor prof. Syroczyński wystąpił ze wszystkiemi oznakami swej władzy, a więc z berłem rektorskiem w ręce i w złotym łańcuchu na szyi.

Łańcuch, którego podobiznę przy niniejszem załączamy, wykonany został dopiero w roku bieżącym, dzięki ofiarności Towarzystwa Politechnicznego i Galicyjskiej Izby inżynierskiej.

Łańcuch ten składa się z kilkunastu ogniw, przedstawiających koła zębate z wplecionemi w nie cyrklami i połączonych naprzemian herbami Polski i herbami m. Lwowa. Zakończenie łańcucha zdobi medalion z podobizną Cesarza Franciszka Józefa. Całość nadzwyczaj efektownie i starannie wykończona, jest dziełem pracowni artystycznej p. Fr. Kwaśniewskiego we Lwowie.



Biedne dzieci królewskie: Książę Jerzy obecny następca tronu saskiego.

Biedne dzieci królewskie.

Książę Fryderyk Leopold przywdział już osieroconą przez śmierć króla Jerzego koronę królów saskich, a zarazem tytuł króla Fryderyka Augusta III.

Blask tej godności królewskiej spada więc i na jego sześcioro dziatek, Jerzego i Fryderyka Chrystyana urodzonych w roku 1893, Ernesta Henryka urodzonego w roku 1896 oraz na Małgorzatę, Maryę Alicyę i Annę, z których pierwsza ujrzała światło dzienne w roku 1800, druga w roku 1901, a trzecia w 1903 i to już wówczas, gdy matka jej, obecna hrabina Montignoso, opuściwszy męża i zamek królewski w Dreznie po ucieczce z Gironem i porzuceniu go, tułała się jako wygnanka w obrębie Austryi.

Biedne te dzieciny zdobi wprawdzie blask królewskiej godności, ale brak im kochającego serca i czułej opieki matczynej, a tego nie zastąpi im nikt, nawet rodzony ojciec! Nie sieroty, a przecież opuszczone, zdane na łaskę płatnej służby, na łaskę guwernerów i guwernantek, którzy zapewne nie robią im krzywdy, ale także nie darzą ich żadnem cieplejszem uczuciem, nie otaczają ich taką miłością, troskliwością i opieką, na jaką zdobyć się wobec nich mogłaby tylko ta, która je na świat wydała, a która w chwili jakiegoś dziwnego szału i zapomnienia, niebaczna na przyszłość porzuciła je — podeptała wszystkie węzły łączące ją z rodziną i dziećmi tak ukochanemi przez nią i tak opłakiwanemi wówczas, gdy poznała, iż straciła już raz na zawsze nie tylko ich miłość i szacunek, ale nawet prawo spoglądania na nich.

Biedne królewskie dzieci! Zdobi je blask korony, ale blask ten przyćmiewa niesława matki, tej matki, która już nigdy na ich czole nie złoży czułego pocałunku i nigdy już nie przyciśnie ich do swej piersi.

Biedne dzieci królewskie!...



Ks. Jerzy. Ks. Fryderyk Chrystyan. Ks. Ernest Henryk. Ks. Małgorzata. Ks. Marya Alicya.

Biedne dzieci królewskie: Synowie i córki obecnego króla saskiego Fryderyka Augusta III i hrabiny Montignoso.

Kobieta pastorem!

Kobieta — pastorem?!

I gdzie, czy może w tej Ameryce, w której każda gałęź pracy i każde zajęcie są dla osobników płci pięknej dostępne?

Nie! na tem polu Amerykę pobiła Anglia...

Dnia 29 września bieżącego roku miss Gertruda von Petzold objęła w hrabstwie Leicester obowiązki duszpasterza gminy Free Christian Church. Fakt ten wzbudza naturalnie wszędzie ogromne zainteresowanie, bo chociaż w Anglii nieraz już w protestanckich kościołach z ambony rozbrzmiewał głos kobiet, to jednak pierwszy raz zdarzyło się, aby kobieta otrzymała prawo stałego spełniania obowiązków pastora.

W tym wypadku zwyciężyło zapatrywanie, że praca kobiety na polu podniesienia czci bożej może być równie wydatną jak praca mężczyzny, że kobieta potrafi z niemniejszym od mężczyzny zapałem i gorliwością spełniać obowiązki kapłańskie...

Takie jest zdanie protestantów angielskich — zdanie stwarzające dla mężczyzn nową konkurencyę ze strony kobiet. — A teraz słówko o kobiecie-pastorze.

Miss Gertruda von Petzold z pochodzenia Niemka urodziła się w roku 1876 w Toruniu i jest córką pruskiego oficera. Początkowo kształciła się na polskiej ziemi w Szczecinie i w ośmnastym roku życia zdała egzamin na nauczycielkę, ale powodowana chęcią zdobycia akademickiego patentu udała się do Szkocyi i tam dwa lata spędziła w Saint Andrews na studyach. Z kolei uczęszczała na wykłady w uniwersytecie edynburgskim, a otrzymawszy tam stopień magistra filozofii, poświęciła się studyom teologicznym zrazu w Oksdorfie a następnie w Berlinie, gdzie słuchała wykładów najwybitniejszych teologów protestanckich Harnacka i von Sodena oraz znanego filozofa Paulsena.

Po trzech latach ciężkiej i rzetelnej pracy zdołała uzyskać posadę pastora w gminie Free Christan Church...

Kobieta-pastorem! No... no!...



Kobieta pastorem: Miss Gertruda Petzold.

Biała murzynka.

Proszę nie myśleć, że pisząc o białej murzynce mamy tu na myśli biedną dziewczynę zapracowywującą się za jakieś marne wynagrodzenie tak jak naprzykład nasi biedni dyurniści, do których oddawna przylgnęła nazwa „białych murzynów“.

Nasza biała murzynka to dziwny wybryk natury, który obecnie podziwia w tak zwanem „Passage-Panopticum“ cały Berlin, nad którym zastanawiają się lekarze światowej sławy.

Anamua — takie jest imię białej murzynki — zrodzona z czarnego ojca i czarnej matki, w budowie ciała i w rysach będąca skończonym typem murzyńskim, ma skórę białą jak mleko, włosy jasno złote niby len, o tak pięknym odcieniu, że mogła by ich pozazdrościć jej niejedna kunsztownie ufarbowana blondynka europejska.

Cały Berlin zbiega się do owego „Passage-Panopticum“, aby podziwiać ten cud natury, ową Anamuę, która w towarzystwie swej rodzonej siostrzycy czarnej jak heban murzynki, pozwala się łaskawie podziwiać i wywołuje powszechny zachwyt zwłaszcza wśród czułej nawet na murzyńskie wdzięki płci męskiej.

Lekarze zjawisko to tłumaczą jako „albinizm“, stawiając młodą murzynkę na równi z białymi myszami, królikami znanymi pod nazwą „albinosków“, szczurami i tym podobnymi tworami bożemi, które matka natura obdarzyła wbrew ogólnym prawom białą sierścią i czerwonemi, jak rubiny oczętami.

Anamua od dwóch lat jeździ po Ameryce i Europie budząc podziw wszędzie, gdzie się tylko ukaże, jako bądź co bądź nader oryginalny okaz.

I nic dziwnego! Biała murzynka należy przecież do tych senzacyjnych wybryków natury, co cielę o sześciu nogach, kogut o odnóżach podobnych do kozich racic albo źrebię o głowie cielęcej, no! i tak dalej, i tak dalej...

Być może, że w tej swojej wędrówce i do nas kiedyś zawita, być może, że i my dostąpimy „zaszczytu“ oglądania jej z bliska i zachwycania się jej pięknością. Zanim to jednak nastąpi, nim spełnią się te nasze nadzieje, które swoją drogą bardzo łatwo mogą się i nie ziścić, podajemy naszym czytelnikom podobiznę tej białej murzynki i jej siostry, niepozbawionej przez przyrodę czarnej skóry, tej głównej cechy afrykańskich ludów.



Biała murzynka: Anamua, wybryk natury podziwiany obecnie w Berlinie.



† Apolinary Jaworski.

Lwów, 24 października. Dzisiaj rano zmarł tu prezes Koła polskiego Apolinary Jaworski. (Telegram).

Schodzi do grobu jeden z istotnych sterników naszej polityki krajowej w ciągu ostatnich lat trzydziestu — ś. p. Apolinary Jaworski.

Powziąwszy sobie za hasło „bronić spraw nie tylko jednej prowincyi, ale dobra całego narodu polskiego" zmarły mąż stanu przez cały czas swej działalności tem się kierował. Choć zarzucano mu i zarzucać będą wiele — nikt zaprzeczać się nie ośmiela, że był to człowiek niepowszedniej miary politycznej, działacz wybitny i polityk niepospolitych zdolnośc .

Konserwatysta z przekonań ś. p. Jaworski nie zacieśniał się jednak w kręgu pojęć przez partyę swą dawniej nakreślonych — starał się zawsze utrzymać w łonie przedstawicieli kraju solidarność, nie jątrzyć stosunków zbyt naprężonych, a raczej drogą możliwych ustępstw je naprawiać, nie paraliżować działalności innych obozów, lecz dawać jej pole w możliwych granicach przy zatrzymaniu dla siebie głosu decydującego — oto wytyczne punkty polityki zmarłego.

Zawsze poważny, samodzielny i rzutny, zawsze przewidujący a często przebiegły ś. p. Jaworski miał jeden wielki dar — zażegnywania przesileń, niedopuszczania przełomów i nieulegania wpływom — robił może nieraz w ten sposób omyłki, częściej jednak ku zadowoleniu większości przyczyniał się do załatwienia wielu najdonioślejszych spraw naszego kraju, zwłaszcza w erze konstytucyjnej.

Stanowczy w powziętych zamiarach silną wolą swoją ś. p. Jaworski dokonał wiele: powagą swą zmusił koła decydujące do dawania słowom jego posłuchu, do brania pod większą uwagę jego zdania, a gdy dopiął celu i zyskał znaczenie — większe mógł dla kraju oddawać zasługi.

Stąd też, choć nieraz nawet w łonie Koła polskiego wrzało przeciw niemu — nie decydowano się na zmianę kierownika, bo w postaci zmarłego widziano podstawę do zgodnego a owocnego działania.

Co mógłby zrobić na jego miejscu inny, nie nam sądzić, bo zresztą i nie czas po temu — nad świeżą jego mogiłą powiedzieć możemy to jeno, że w czasach, w których na każdym kroku panuje obłuda, interesowność, a często zła wola i chęć zwycięstwa choćby drogą potajemnie kopanych dołów — w takich czasach nawet ci, co nic nie zrobili, zasługiwać muszą na wyróżnienie: ś. p. Jaworski świadomie źle nie robił, dla kraju pragnął dobra, a jeśli to dobro inaczej, niż inni pojmował — to wina obozu, w którym się był wyszkolił i z którego wyszedł na widownię i dla którego robił co mógł, co mu rozum nakazywał.

Do grobu przeto schodzi czysty z mianem wybitnego męża stanu, polityka niepowszedniej miary, kierownika niezaprzeczonych zdolności.

Cześć jego pamięci.

Upadek posterunku hakatystycznego.

Kiedy w roku 1779 patentem cesarza Józefa II. nadane zostało Brodom prawo miasta wolnego, zasłynęło ono niebawem jako ważny punkt handlowy na pograniczu dwóch państw leżący.

Niestety — handel nasz w tych czasach znajdował się prawie wyłącznie w rękach niemieckich: oni ciągnęli z niego zyski, oni zawiązywali stosunki Niemiec z krajem naszym w swojem własnem imieniu — oni „nasz" przemysł i handel podnosili — lecz tem samem stawali się panami położenia — rozpanoszali się u nas, jak we własnem Vaterlandzie.

Zaludniły się Brody kupcami niemieckimi i ich dziećmi, które z czasem zajmowały różne stanowiska, poświęcając się karyerze urzędniczej we wszystkich jej dziedzinach. Oni to, stanąwszy niebawem u steru instytucyi władzy miejscowej, zapragnęli obok wielu innych przywilejów mieć szkoły niemieckie, z niemieckim językiem wykładowym w niemieckim duchu prowadzone.

I nadszedł czas, kiedy Niemcy tryumfowali — bo rząd, widząc ich przewagę, chętnie żądaniom ich czynił zadość. Nadeszły czasy, w których uczniowi Polakowi mówić po polsku w szkole nie było wolno, w których za odezwanie się w języku macierzyńskim otrzymywał karę w postaci rózg lub „sprachzeichen", jakie ku pośmiewisku kolegów nosić musiał.

I działo się to po dziś dzień w Brodach, w mieście, znajdującem się w kraju konstytucyjnem, w którym swoboda w używaniu języka rodzinnego miała być największa w stosunku do innych krajów polskich pod zaborem moskiewskim i niemieckim pozostających.

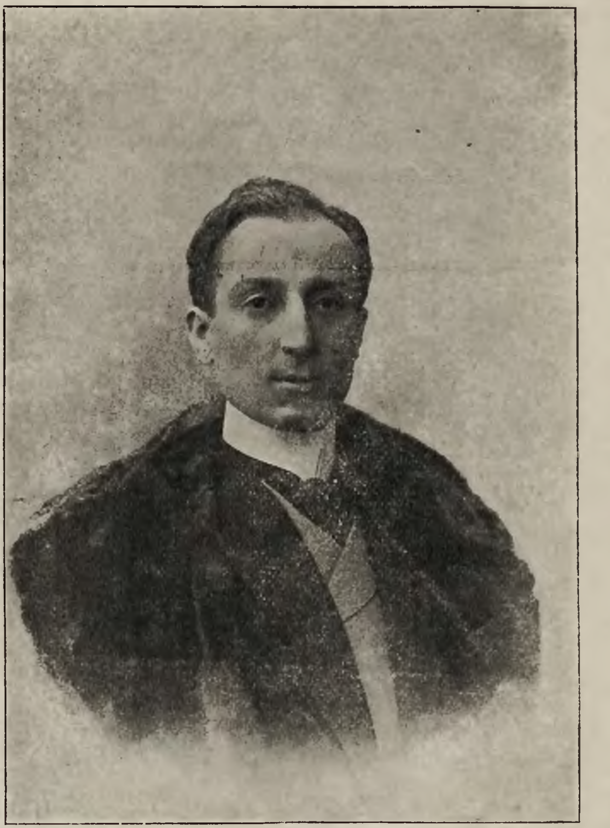
Takim białym krukiem było gimnazyum w Brodach, przekształcone ze szkoły handlowej, mówimy było, bo oto z radością możemy zanotować dziś fakt, że ta placówka germanizacyjna, jedyna w kraju naszym, dzięki energii człowieka dobrej woli, raz na zawsze skasowana została przed kilkoma dniami.

Takim człowiekiem dobrej woli jest dr. Stanisław Rittel, zastępca burmistrza Brodów, który na ostatniem plenarnem posiedzeniu brodzkiej rady miejskiej wystąpił z wnioskiem skasowania języka niemieckiego, jako wykładowego, w miejscowej uczelni i piękną nadzwyczaj przedmiotową, a mimo to podniosłą argumentacyą skłonił kolegów radnych do ostatecznego zatarcia śladów rozpanoszenia się pachołków hakatyzmu w polskiem rdzennie mieście.

Uchwałę w tym duchu powzięto bez namysłu mimo protestu jednego z radnych — przypuszczacie: Niemca — nie... Rusina p. Sanata, profesora niemieckiego gimnazyum.

Rezolucya rady wniesiona zostanie niebawem w sejmie, który — miejmy nadzieję — że nie omieszka w możliwie najkrótszym czasie uchwały radnych brodzkich w czyn wprowadzić.

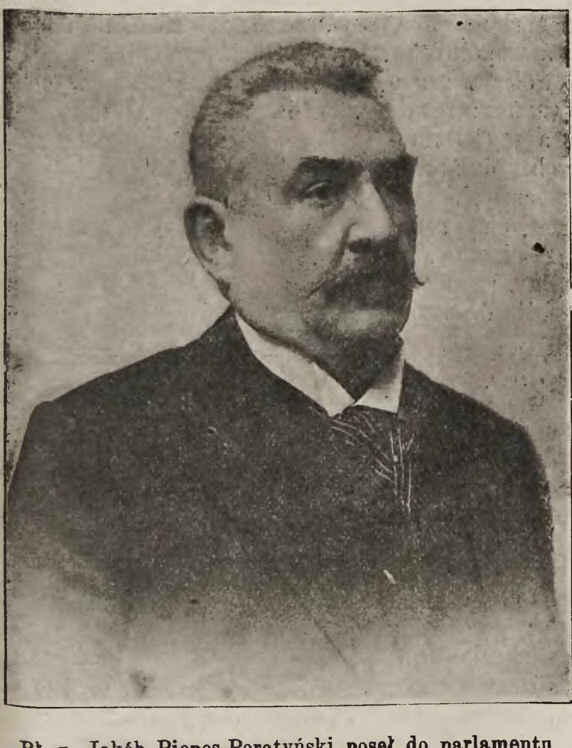
Podając w niniejszym numerze rycinę, przedstawiającą gimnazyum w Brodach i podobiznę dra Stanisława Rittla, wnioskodawcy i referenta tej doniosłej dla naszego ogółu sprawy, zaznaczamy, że jest on jednym z tych izraelitów, którzy, wychowani na polskiej ziemi, są jej wiernymi synami i dla niej pracują niemniej gorliwie, niż rdzenni Polacy: jest on Lwowianinem, powołanym do Brodów ze stanowiska koncypienta adwokackiego na posadę sekretarza Izby handlowej i przemysłowej, oprócz której to godności piastuje obecnie tytuł zastępcy burmistrza.



Upadek posterunku hakatystycznego: Prof. dr. St. Rittel zastępca burmistrza w Brodach.



Upadek posterunku hakatystycznego. Gimnazyum niemieckie w Brodach. Fot. Buxdorf, Brody.



Bł. p. Jakób Piepes-Poratyński poseł do parlamentu.

Krwawa tragedya miłosna.

Miłość! uczucie z jednej strony najświętsze, dźwigające człowieka na wyżyny — uczucie, które czyni go zdolnym do największych poświęceń, do zaparcia się siebie samego, które go uszlachetnia, dodaje sił w ciężkiej pracy, obudza w nim twórczość i przenosi go w kraj ideałów, z drugiej strony jest w stanie popchnąć go do najbrutalniejszych czynów, do zbrodni wszelkiego rodzaju, do mordu i najwstrętniejszych występków...

Miłość! to uczucie, które zależnie od tego, na jakiem gruncie rośnie, w czyjem zaszczepi się sercu, albo czyni ludzi czystymi, jak kryształ, albo najokropniejszymi zbrodniarzami...

Taką dziwną siłę ma miłość!

Ale pominąwszy tę ogólną kwestyę siły, jaką ma miłość, nie wchodząc w to, gdzie kogo miłość zaprowadzić może, niema chyba na świecie większej męki moralnej, jak tak zwana miłość nieszczęśliwa, miłość, gdzie jedno serce oddaje się drugiemu, nie żywiącemu dlań żadnych cieplejszych uczuć, albo gdzie wola rodziców rozdziela dwa kochające się serca i nie zezwala im połączyć się nierozerwalnym węzłem małżeństwa. Kto nie ma siły znieść takich męczarni, dla kogo wówczas życie traci cały urok, ten szuka zapomnienia i ukojenia w śmierci...

Powstają z tego tragedye, wznoszą się mogiły, a nad niemi wylewają łzy ci, którzy byli ich głównymi sprawcami, czy to przez swój upór, czy przez zastarzałe pojęcia i przesądy.

Jedna z takich krwawych tragedyi miłosnych rozegrała się właśnie ubiegłego tygodnia na przemyskim bruku.

Młody plutonowy 10 pułku piechoty stacyonowanego w Przemyślu, niejaki Józef Koński, zapoznawszy się z tameczną nauczycielką panną Heleną Ekiertówną, pokochał ją całym zasobem uczuć swej młodej gorącej duszy.

A panna odpowiedziała mu wzajemnością; nie zważała na to, że jej wybrany nosi miast srebrnych sukienne gwiazdki na kołnierzu swojego munduru. I ona pokochała go szczerze, serdecznie, nad życie, nad wszystko.

Marzeniem obojga młodych było stanąć kiedyś razem na ślubnym kobiercu. Ale niestety! rodzice panny uważali plutonowego za nieodpowiednią partyę dla nauczycielki i nie chcieli nawet słyszeć o ich związku.

Gdy młodzi kochankowie zobaczyli, że wszystkie ich usiłowania w kierunku przełamania oporu rodziców są bezskuteczne, nastąpiła katastrofa.

Postanowili oboje umrzeć i połączyć się na tamtym świecie, skoro na tym nie mogli.

W parku zamkowym Koński za zgodą ukochanej celnym wystrzałem z rewolweru odebrał jej życie, poczem sam udał się do koszar i wystrzałem, skierowanym w własną skroń, zakończył męczarnie swego życia.

Na cmentarzu przemyskim czernią się dwie świeże mogiły, co kryją zwłoki nieszczęśliwych kochanków, którzy woleli śmierć w kwiecie wieku, niż życie zdala od siebie!..



Krwawa tragedya miłosna: Helena Ekiertówna po śmierci.

Jakób Piepes Poratyński.

Kupiectwo lwowskie traci znowu jednego ze swych przedstawicieli b. p. Jakóba Piepes-Poratyńskiego — człowieka ogólnie szanowanego, dobrego, krajowi i społeczeństwu oddanego Polaka, kupca uczciwego i wyszkolonego w swojem zawodzie. — B. p. Jakób Piepes-Poratyński, jako właściciel jednej z aptek lwowskich, powołany został do zarządu lwowskiej Izby handlowo-przemysłowej i tu, jako członek, a następnie prezes tej instytucyi, rozpoczął swą działalność społeczną — owocną wielce i wszechstronną zarazem.

Jako przedstawiciel kupiectwa został posłem do parlamentu, radnym miasta oraz członkiem sekcyi III. szkolnej Rady krajowej do szkół przemysłowych i handlowych — jako taki za położone zasługi i energiczną działalność otrzymał order cesarza Franciszka Józefa.

Do ostatnich chwil swego życia mimo nadwątlonego pracą organizmu b. p. Jakób Piepes-Poratyński brał udział w życiu publicznem, a szczególnie w obradach parlamentarnej komisyi aptekarskiej, w której był głównym referentem spraw aptekarskich, domagających się pod wieloma względami reformy.

Bł. p. Jakób Piepes-Poratyński nie myślał tylko o interesach stanu, który zastępował. Wszak szybkie zażegnanie strejku magistrów aptekarskich, na korzyść tychże, było dziełem jego dobrej woli.

Zmarł w Wiedniu, dokąd przewieziono go z sanatoryum, w 59 roku swego życia.



Zgon księżniczki: Zmarła księżna Asturyi z mężem i dwoma synami księciem Alfonsem i Ferdynandem. (Treść na str. 13).



Plutonowy Józef Koński strzela do swej narzeczonej Heleny Ekiertównej.

Krwawa tragedya miłosna: Żołnierze zwabieni hukiem strzału znajdują plutonowego Końskiego w izbie bez życia.

Senzacyjny proces w Turynie.

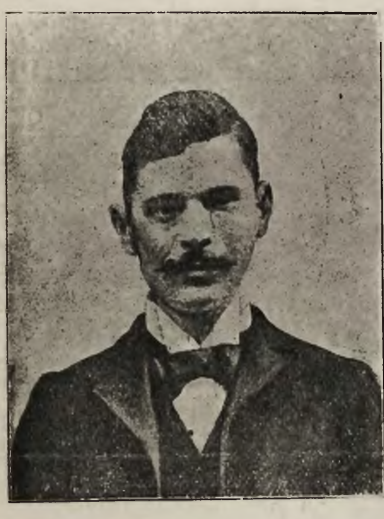
Przed sądem w Turynie toczy się sprawa senzacyjnego morderstwa, jakie jeszcze w roku 1902 popełniono na osobie hrabiego Bonmartiniego w Bolonii.



Senzacyjny proces w Turynie: Adwokat Tullio Murri.

Proces ten, który potrwa zapewne czas dłuższy, bo do rozprawy zawezwano przeszło 300 świadków, nie tylko w całych Włoszech, ale i w całej Europie budzi ogromne zainteresowanie. Na ławie oskarżonych zasiada pod zarzutem tej strasznej zbrodni kwiat inteligencyi włoskiej, ludzie, którzy przed paru laty zajmowali wybitne stanowiska, których imiona były wymawiane niegdyś z czcią i szacunkiem...

W drugiej połowie sierpnia 1902 zamieszkały w Bolonii hrabia Bonmartini, mąż córki starego i poważanego przez wszystkich profesora uniwersytetu dra Augusta Murriego, Teodolindy, zniknął bez śladu.



Senzacyjny proces w Turynie: Doktor Pio Naldi.

Zrazu nikt nie zwracał na to uwagi i owo tajemnicze zniknięcie młodego magnata przeszłoby było niespostrzeżenie, gdyby wypadkowo całkiem nie znaleziono dn. 28 sierpnia zwłok jego w domu, w którym zamieszkiwał.

W pokoju, w którym leżały zwłoki hrabiego strasznie zeszpecone kilkunastoma pchnięciami sztyletu, znalazła policya dwa kieliszki, butelkę ze szampana marki *„Extra Dry"*, okruchy ciast i porozrzucane po podłodze niektóre części garderoby damskiej, zdobnej w bogate koronki,



Senzacyjny proces w Turynie: Hr. Teodolinda Bonmartini.

wykwintnej w tym guście, jakim odznaczają się lepsze damy z półświatka.

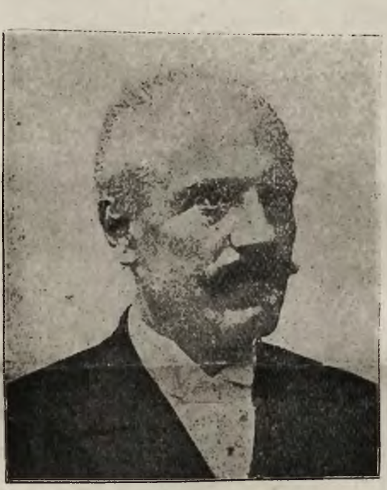
W pierwszej chwili policya myślała, że hrabia Bonmartini padł ofiarą jakiejś kokoty i jej utrzy-



Senzacyjny proces w Turynie: Dom hr. Bonmartiniego w Bolonii, gdzie go zamordowano.

manków, że zamordowano go dla rabunku, ale niebawem śledztwo przybrało inny kierunek.

Z dnia na dzień piętrzyły się dowody i poszlaki, że moralną autorką zbrodni była sama hrabina Teodolinda Bonmartini, która w chwili, gdy na jej mężu spełniono morderstwo, bawiła w Wenecyi i na wieść o tragicznym zgonie męża przy-



Senzacyjny proces w Turynie: Prof. August Murri, ojciec Tullia i hrabiny Bonmartini.

wdziała ciężką żałobę, zaczęła go opłakiwać, chociaż za życia panowała między niemi wieczna niezgoda.

Śledztwo wykazało, że dumna Włoszka, choć brzydka, choć pozująca na niezwykle cnotliwą damę, miała kochanka. Kochankiem tym był doktor Carlo Secchi.

Hrabina Teodolinda oddała mu swe serce jeszcze za swych panieńskich czasów, pokochała go z całą namiętnością swej gorącej krwi południowej, a Secchi za te uczucia płacił jej wzajemną miłością, zdolną do największych poświęceń.

Profesor August Murri, mimo, że szalenie kochał swą córkę, nie chciał zezwolić na małżeństwo jej z młodym, ubogim lekarzem i Teodolinda oddała swą rękę bogatemu hrabiemu Bonmartiniemu, którego wprost powiadomiła o swych uczuciach dla doktora Secchi.

Rzecz prosta, że w tych warunkach pożycie młodego małżeństwa nie mogło być szczęśliwem, ale zdawałoby się także, że hrabina Teodolinda nie miała powodu do nastawania na życie swego męża.

Lecz dumna Włoszka, której tajemny stosunek z kochankiem nie wystarczał, żywiła w swej duszy jedno pragnienie: oto za każdą cenę chciała połączyć się z Secchim związkiem małżeńskim.

Aby się to jednak stać mogło, hrabia Bonmartini musiał umrzeć!...

Przy zwłokach hrabiego Bonmartiniego znaleziono skrwawiony nóż chirurgiczny. Śledztwo wykazało, że był on własnością doktora Piusa Naldiego, którego widywano bardzo często w towarzystwie brata hrabiny Teodolindy, adwokata Tullia Murriego.

Był to pierwszy promyk światła, jaki padł na tę tajemniczą sprawę. Policya przyszła do przekonania, że mordercą musiał być doktor Pius Naldi, który po wykryciu morderstwa umknął za granicę i zatarł za sobą wszelkie ślady. Ale Naldi musiał mieć wspólników. Kto byli ci wspólnicy?

Policya zrazu nie śmiała skierować swych podejrzeń na młodego Tullia Murriego. Tullio, jeden z najwybitniejszych działaczy społecznych we Włoszech, redaktor pisma „La Sqilla", kandydat na posła do parlamentu, znany powszechnie z uczciwości i otaczany szacunkiem nawet ze strony swych politycznych przeciwników, mimo swych stosunków z Naldim, był wyższym ponad wszystkie podejrzenia; nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby on mógł być jednym z morderców. A jednak i Tullio w tym samym czasie wyjechał za granicę...



Senzacyjny proces w Turynie: Rosina Bonetti, pokojówka hr. Teodolindy, kochanka Tullia Murriego.

Tymczasem policya wykryła, że tuż obok pomieszkania hrabiego Bonmartiniego w drugim domu hrabina Teodolinda odnajmowała pod obcem nazwiskiem dwa pokoje, w których miewała czułe schadzki z swoim kochankiem Secchim. W tem pomieszkaniu znaleziono również szampan „Extra Dry" i inne ślady bachanalii, jakie się tam odbywały.



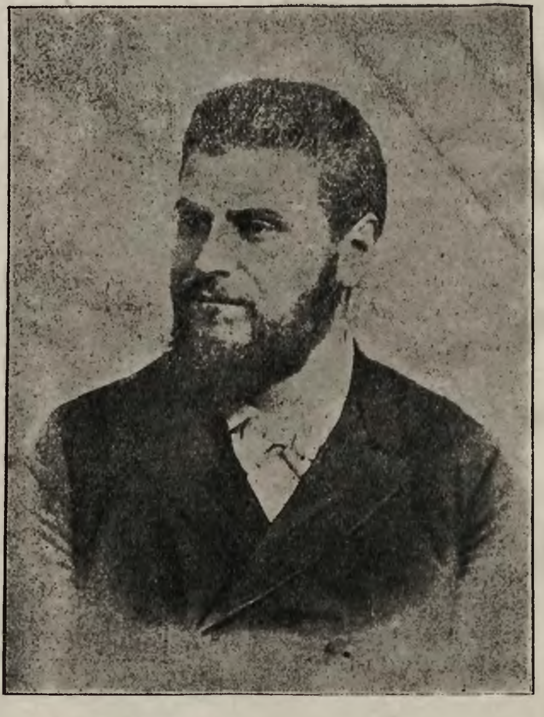
Senzacyjny proces w Turynie: Doktor Carlo Secchi, kochanek hrabiny Bonmartini.

Równocześnie doktor Naldi, nękany wyrzutami sumienia, wrócił i sam oddał się w ręce policyi.

I Tullio Murri postanowił odpokutować swą zbrodnię. Stanął w Roweredo przed komisarzem włoskim i przyznał się do wszystkiego.

Wtedy aresztowano hrabinę Teodolindę i jej pokojówkę, a kochankę Tullia, Rozynę Bonetti. Wówczas sądowi przedstawił się całokształt tej potwornej zbrodni.

Za namową siostry, przy pomocy kochanki, która, spoiwszy hrabiego, ułatwiła dostęp do jego pomie-



Senzacyjny proces w Turynie: Zamordowany hrabia Bonmartini.

szkania, Tullio wraz z Naldim wtargnęli do pokoju, gdzie hrabia zabawiał się z Rozyną, i dokonali morderstwa. Naldi „za fatygę" otrzymał trzy tysiące lirów...

Nadzieje zawiodły jednak hrabinę Teodolindę. Zbrodnia jej wyszła na jaw i zamiast zaprowadzić ją wraz z kochankiem na ślubny kobierzec, zepchnęła ją do więzienia między tłum pospolitych zbrodniarzy, a wraz z nią i cały szereg ludzi, których potrafiła usidlić i nagiąć do swej woli...

Nemezis losu nigdy długo nie pozwala czekać na siebie!...



Jasło wobec pożarów: Ocalony przez straż dworek p. Konopackiego.

Jasło wobec pożarów.

Klęska pożarów, która tak często nawiedza to miasto, spowodowała tameczne obywatelstwo do zreorganizowania straży ochotniczej miejskiej. Straż ta bowiem choć dobrze wyszkolona i z całem poświęceniem pełniąca swe ciężkie obowiązki liczebnie była zbyt mała, aby módz podołać swemu zadaniu.

Reorganizacya ta w krótkim czasie przyszła do skutku i dziś jasielska straż ochotnicza posiada w swych szeregach około stu pięćdziesięciu członków czynnych, którzy w walce z tak strasznym żywiołem, jakim jest ogień, położyli już niemałe zasługi, jak naprzykład podczas ostatniego pożaru w ulicy Targowica. Wówczas, 7 października b. r., stanął w płomieniach budynek p. Rosnera ściśle przylegający do zabudowań p. Konopackiego i tylko dzięki nadludzkim wysiłkom straży, z komendantem drem Janem Wiluszem na czele, udało się pożar zlokalizować i mienie p. Konopackiego uratować w całości. A i powiat jasielski dba o zorganizowanie i wyćwiczenie straży ogniowych wiejskich.



Jasło wobec pożarów: Straż ogniowa na zgorzelisku budynku p. Rosnera.

W tym miesiącu odbył się staraniem Wydziału powiatowego pod kierunkiem sekretarza Związku straży ochotniczych p. Antoniego Szczerbowskiego trzydniowy kurs pożarny dla włościan, w którym wzięli udział parobcy i gospodarze z Osobnicy, Łęk, Frysztaka, Kołaczyc, Glinika polskiego, Czeluśnicy, Chrząstówki, Roztoków, Dębowca i Żmigrodu.

Kurs składał się z wykładów teoretycznych i ćwiczeń, któremi kierował p. Szczerbowski, oraz z wykładu lekarza miejskiego dra Hiznera o udzielaniu pierwszej pomocy lekarskiej ofiarom poparzenia lub zaczadzenia, poczem ostatniego dnia w obecności władz krajowych i rządowych odbył się popis uczestników kursu.

Popis ten wypadł ku ogólnemu zadowoleniu, a sam kurs przyniesie pewnie znaczne korzyści, bo uczestnicy jego zdobyte wiadomości będą zapewne krzewić wśród swych współmieszkańców i w chwili katastrofy nie będą patrzeć na szerzące się zniszczenie ze założonemi rękoma.

Doprawdy, zdałoby się, aby inne powiaty wzięły przykład z Jasła i nie liczyły się z kosztami, jakich kursy tego rodzaju wymagają, lecz chętnie ofiarowały ten grosz na stworzenie armii zdolnej do walki z tak strasznym nieprzyjacielem biednego ludu, którym jest klęska pożarów.

Kapitan węgierskiej gwardyi przybocznej.

Węgry, którzy w każdym kierunku dążą do samoistności, do stanowiska równego Austryi, którzy pragną mieć wszystko swoje własne, nawet własną, osobną gwardyę, a umieją walczyć i zdobywać raz po raz nowe prawa w tym kierunku — w ostatnich dniach uzyskali ze strony monarchy nowy dowód łaski

Cesarz Franciszek Józef I. rozporządzeniem wydanem 19 października nakazał stworzyć w Budapeszcie węgierską gwardyę przyboczną i kapitanem jej zamianował byłego ministra węgierskiej obrony krajowej czyli tak zwanych honwedów Gezę Fejerwarego.

Pierwszy kapitan tej nowej gwardyi Geza de Komlós-Keresztes Fejerwary urodzony w r. 1833 poświęcił się karyerze wojskowej i w randze kapitana sztabu jeneralnego brał udział w bitwie pod Solferino, gdzie odznaczył się wielką odwagą i okazał wielkie zdolności strategiczne.

Od tej chwili zdobył sobie wielkie zaufanie i poparcie ze strony monarchy, a w roku 1865 został majorem, i fliegel-adjutantem cesarskim. Na tem stanowisku pozostawał przez siedm lat, poczem mianowano go pułkownikiem obrony krajowej, a następnie sekretarzem stanu w węgierskiem ministeryum obrony narodowej.

Pracując w tem ministeryum Fejerwary poznał wszystkie braki pułków honwedów i kiedy po uzyskaniu odznak feldmarszałka powierzono mu roku



Jasło wobec pożarów: Popis uczestników powiatowego kursu dla straży pożarnych.



Arcyks. Renata. Arcyks. Wilhelm. Arcyks. Eleonora. Arcyks. Karol Stefan.
Arcyks. Leon. Arcyks. Karolowa. Arcyks. Karol. Arcyks. Mechtylda.
Panowie na Zywcu.

1884 w gabinecie hrabiego Kolomana Tiszy tekę ministerstwa obrony narodowej, z całym zapałem wziął się do reorganizacyi honwedów i w tym kierunku zdobył sobie niespożyte zasługi.

Na stanowisku tem Fejerwary utrzymał się bardzo długo. Gabinety węgierskie zmieniały się jak obrazki w kalejdoskopie, a Fejerwary teki swojej z rąk nie wypuszczał. Ostatecznie jednak nadszedł czas, w którym musiał ustąpić miejsca innemu.

Ustąpił, ale nie długo czekał na nowy dowód łaski monarszej; nie mały to bowiem zaszczyt być kapitanem przybocznej gwardyi węgierskiej.

Panowie na Żywcu.

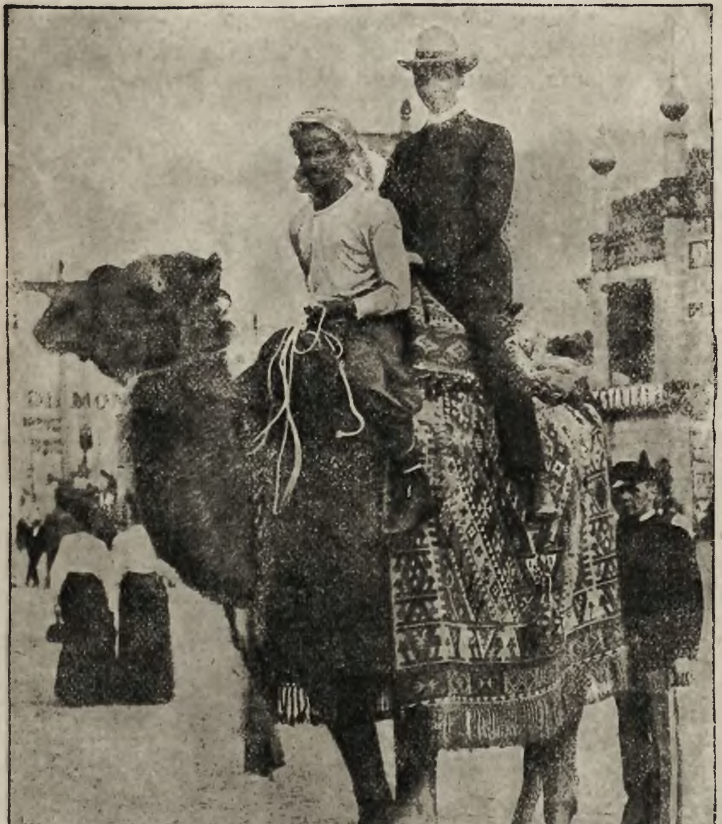
Żywiec, to miasteczko, które zwłaszcza z czasu nawałnicy szwedzkiej, za panowania króla Jana Kazimierza tak pamiętnie zapisało się na kartach historyi naszej ojczyzny; Żywiec dawna posiadłość królów polskich dzisiaj nowych ma panów, jest własnością jednego z członków panującego w Austryi domu Habsburgów, arcyksięcia Karola Stefana.

Arcyksiążę austryacki kocha tę nową swoją posiadłość, umie uszanować nasze tradycye dziejowe, na każdym niemal kroku dając nam dowody swej życzliwości i pamięci, czy to fundując w Żywcu — jak to już wspomnieliśmy w poprzednim numerze „Nowości illustrowanych" tablice pamiątkowe, czy też zdobiąc własnym kosztem we wspaniałe witraże okna jednej z kaplic wawelskiej katedry...

Nic więc chyba dziwnego, że nowi panowie na Żywcu pozyskali sobie zupełną sympatyę i szacunek naszego społeczeństwa i że my dajemy dziś podobiznę zbiorowej fotografii całej rodziny nowych panów na Żywcu.

Arcyksiążę Karol Stefan, wice-admirał floty austro-węgierskiej i tytularny kontradmirał marynarki niemieckiej, ożeniony z księżniczką toskańską Maryą Teresą, jest szczęśliwym ojcem sześciorga dziatek w wieku od ośmnastu do dziesięciu lat a mianowicie: trzech synów, arcyksięcia Karola, arcyksięcia Leona i arcyksięcia Wilhelma, oraz trzech córek arcyksiężniczek: Renaty, Eleonory i Mechtyldy.

Wszystkie te dzieci ujrzały światło dzienne w mieście portowem Pola, położonem w Istryi, w tem bowiem mieście arcyksiążę Karol Stefan jako admirał ma stałą siedzibę i tam pełni swą służbę jako jeden z kierowników marynarki austro-węgierskiej.



Z wystawy w St. Louis: Na grzbiecie „okrętu pustyni".

Z wystawy w Saint Louis.

Wystawa w St. Louis! Wśród całego lasu najwspanialszych gmachów poprzecinanego we wszystkich kierunkach olbrzymiemi ulicami drga życiem mrowisko ludzi...

Rozmaite ubiory, rozmaite twarze i typy bezustanku przewijają się przed oczyma widza aż wzrok się męczy, aż źrenice mdleją, wpatrując się w ten pstry różnobarwny tłum płynący we wszystkich kierunkach zbitą falą...

Niejednemu chciałbyś się przypatrzeć, lecz nim zdołasz przelotnie bodaj obrzucić go wzrokiem, już nowa niemniej ciekawa postać wpada ci w oczy i przykuwa na chwilę twą uwagę, po to tylko, aby w tej samej chwili ktoś inny równie lub więcej zajmujący nawinął ci się pod rękę...

I to tak ciągle... bez przerwy, bez przestanku!... Rady sobie nie można dać z oglądnięciem tej rzeszy pieszej, a tu więzi znów uwagę tłum „jezdny", używający wszelkich możliwych środków lokomocyi.

Ot! tam ulicą mknie miniaturowa kolejka żelazna: maszyna ciągnąca wozy osobowe nie większe od człowieka średniego wzrostu!... Tu znów krążą jeźdźcy na koniach osiodłanych w sposób używany przez stepowych „lameros". Elegancko postrojeni panowie siedzą w drewnianych siodłach o wysokich kulbakach przekrytych tylko skórą z dzikiego zwierzęcia (choć kto wie, czy dla wygody tych dżentelmenów nie kryją się pod skórami większe poduszki!) i nogi opierają na strzemionach szerokich kształtem bardzo przypominających strzemiona tureckie.

Ówdzie pospolity tragarz ciągnie elegancki japoński wózeczek na dwóch kołach, w którym jakaś „miss" czy „mademoiselle", kryjąc się pod japońskim parasolikiem rozparła się wygodnie i z dumą spoziera na tłum pieszy, śląc wkoło zalotne uśmiechy...

Obecnie taki japoński wózek na wystawie w Saint Louis cieszy się ogromnem powodzeniem, jako rzecz na czasie i pozwalająca w mimiczny sposób wyrazić swoje „japońskie sympatye". Zwłaszcza damy, te damy, które każda nowość tak nęci, dziwną stałością darzą japońskie „biedki"...

Na wysokości słonia dźwigającego ozdobny indyjski palankin ze znudzoną minką utkwiwszy niby wzrok w niebo, ale dobrze widząc, co dzieje się na ziemi roztacza blask swych dyamentów i najekscentryczniejszej toalety amerykańska miliarderka. Tłum spoziera na nią z zachwytem i zazdrością. Ona udaje, że zachwytu tego i podziwu bynajmniej nie widzi, że nikt ani nic ją nie obchodzi, a jednak to uwielbienie wiele łechce jej miłość własną i na drugi dzień pewnie tłum dojrzy ją na grzbiecie wielbłąda tego „okrętu pustyni", na którym ciekaw wrażeń, przejeżdża ulicą jakiś facecik. I temu zdaje się, że jest panem sytuacyi, gdyż po raz pierwszy wydrapał się na grzbiet tego ciekawego zwierzęcia...



Kapitan węgierskiej gwardyi przybocznej: B. minister honwedów Geza de Komlós-Keresztes Fajérwary.



Z wystawy St. Louis: Dama w wózku japońskim na wystawie.

— Ach! głupia dumo ludzka! — myśli człowiek trzeźwy — jak ty osładzasz życie nie jednym, do czego ty jesteś zdolna przywieść nas ułomnych! Wystawa w St. Louis! Tu doprawdy można poznać świat, ludzi i wszystkie namiętności, jakie toczą serca nasze...



Dla rozwoju przemysłu krajowego: Szkoła wyrobów zabawkowych i koronkarskich w Jaworowie.

Dla rozwoju przemysłu krajowego.

Ubogi nasz przemysł krajowy zwłaszcza ubogi, na punkcie tak zwanych towarów norymberskich, do których przeważnie należą zabawki, dzięki inicyatywie i usilnym staraniom ludzi dobrej woli i mrówczej ich pracy powoli zaczyna się rozwijać.

W miasteczku Jaworowie pod Lwowem, w tym Jaworowie, sławnym z pobytu króla Jana Sobieskiego, który uwiecznił się krakowiakiem:

„A skądżeś ty! — Z Jaworowa!
„A czyjaś ty? — Kowalowa!"...

od dawna już wśród tamecznych mieszkańców kwitnął przemysł wyrobów drzewnych, potrzebnych do użytku domowego i zabawek, z grubsza coprawda ciosanych, ale nie pozbawionych tego pewnego piętna artyzmu i tej swojskości, jaką się nasz wieśniak kieruje niemal bezwiednie przy wykonywaniu tego rodzaju pracy.

O ile zaś mężczyźni z tej okolicy poświęcali się takim wyrobom drzewnym, o tyle kobiety tkały znów wcale piękne lniane koronki z musu zachowując w ich wzorach motywy ludowe.

Towar ten, jak w jednym tak w drugim zakresie znajdował we Lwowie chętnych nabywców, cieszył się nawet sławą tak, że gdy zaczęto mówić o uprzemysłowieniu biednej naszej Galicyi i troszczyć się o nie, bojownicy tej zacnej idei zwrócili oczy na Jaworów i postanowili zmysł mieszkańców tej okolicy do tego rodzaju wyrobów odpowiednio wykształcić, wyszkolić, a tem samem podnieść popyt na ich pracę.

Usiłowania te nie poszły na marne i dziś w Jaworowie wznosi się ładny budynek w stylu opartym częściowo na swojskich motywach, który w ostatnich właśnie dniach oddano do użytku publicznego, a w którym pomieszczono szkołę dla wyrobów zabawkowych i koronkarskich.

Zapewniona przez Sejm subwencya umożliwi tej szkole istnienie, a już od kierowników jej i opiekunów zależeć będzie, czy nowy ten posterunek naszego przemysłu zadowalająco spełni swe zadanie, czy istotnie przyczyni się choć drobną cegiełką do rozkwitu naszego przemysłu. My pragnęlibyśmy bardzo, aby nadzieje, jakie kraj żywi w tym kierunku, nie okazały się zwodniczemi i nowej szkole to jest nauczycielom oraz kształcącej się młodzieży zasyłamy serdeczne życzenie:

„Szczęść Boże w pracy!"



Nowy generalny inspektor kawaleryi: Arcyks. Otto.

Nowy generalny inspektor kawaleryi.

Armia austryacka otrzymała nowego generalnego inspektora kawaleryi. W dzienniku rozporządzeń dla wojsk czytamy, że godność tę ofiarował cesarz Franciszek Józef I. arcyksięciu Ottonowi.

Generalny inspektor kawaleryi ma ciężkie obowiązki, pracę żmudną, której zaniedbywać nie można i do której trzeba posiadać nie tylko znakomite wykształcenie wojskowe, ale także dar inicyatywy i wytrawny sąd w sprawach związanych z militarnem zadaniem konnicy.

Te przymioty w wysokim stopniu posiada arcyksiążę Otto i dlatego nominacya jego na tak odpowiedzialne stanowisko wśród kół oficerskich wywołała ogromne zadowolenie. Przecież to chyba przyjemnie jest służyć pod wodzem, który zna się na rzeczy, umie odczuć potrzeby podwładnych, ocenić ich pracę i uznać za słuszne uwagi, jakie robią oparci na własnem doświadczeniu i wykształceniu, niż pod wodzem, który sam nie znając się na niczem, aby tylko podtrzymać autorytet swej powagi pomiatają najzdrowszemi radami tylko dlatego, że nie wylęgły się z ich mózgu.

Arcyksiążę Otto należy do takich właśnie wodzów, którzy oprócz fachowego wykształcenia umieją cenić zdanie swych podkomendnych i dlatego to nominacyę jego koła oficerskie przyjęły z taką radością.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierz ros. z pułku strzelców syberyjskich.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Pole walki po bitwie pod Jantaj.

Święto umarłych.

Jest jeden dzień w roku piękny w swej powadze, podniosły w swym majestacie, w którym żywi jednoczą się myślą z umarłymi, w którym teraźniejszość ku przeszłości duchem się zwraca — dniem tym są Zaduszki — obchodzone przez cały świat chrześciański, a przejęte od pogan zamierzchłych wieków.

W dniu tym na miliardach po całej kuli ziemskiej rozsianych mogił, w pamięci szatą odświętną jakby spowitych, klęka ludzkość cała, oderwana od zajęć życia codziennego, i poważna, skupiona składa hołd tym, którzy po walce życia ciosem śmierci wytrąceni z szeregu bojowników pracy, ustąpili miejsca swe innym, młodszym, z zapałem rwącym się do czynu — do boju...

Polacy, otaczający większą niż inne narody aureolą przeszłość swoją i z większym pietyzmem zwracający się ku swym poprzednikom — tem uroczyściej obchodzą ten dzień, bo czcząc pamięć umarłych, czczą dni minionej chwały, dni niepodległości, dni czynów wielkich...



Święto umarłych: Grób weteranów, walczących za wiarę i ojczyznę w r. 1831 a pochowanych w Krakowie.

Dlatego to polskie cmentarze w ten dzień święta umarłych najokazalej się przedstawiają — najtłumniej są nawiedzane: na nich Polak, myślą wstecz sięgając, otuchę czerpie do dalszej walki, na nich utrwala w pamięci imienia wielkie i czyny święte.

Bo każdy cmentarz polski — to zbiór pamiątek naszych — to karty historyi naszej — to skarbiec relikwii narodowych...

Tym to relikwiom hołd dziś składamy, bo gdy tysiącem świateł zamigocą mogiły, w wieńce spowite, gdy tysiące ust modlitwę wzniesie ku wyżynom — najjaśniej, najpiękniej w duszy każdego z nas odzwierciadlać się one będą.

Na cmentarzu krakowskim i lwowskim najwięcej mówić za siebie będą skromne może, lecz chwały pełne grobowce poległych za Wiarę i Ojczyznę: groby weteranów z 1831 i 1863 roku — bo na ich widok w pamięci nam staną te liczne wśród pól i lasów sypane mogiły, na całym obszarze Polski rozsiane, w którym legli ci wszyscy, co za świętą sprawę, co za „swoją i naszą wolność" walczyli.

Nie mniejszym blaskiem pałać będą groby zasłużonych na polu literatury i sztuki, działaczów społecznych i tylu, tylu innych cichych pracowników we wszystkich dziedzinach naszego życia.

Załączając niektóre z tych grobowców na illustracyach i hołd zmarłym w ten sposób oddając – łączymy się myślą ze wszystkimi ludźmi dobrej woli w modlitwie: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków..."

Cześć im i chwała!



Swięto umarłych: Pomnik wzniesiony na cmentarzu krak. poległym za wolność ojczyzny w r. 1863.



Święto umarłych: Pomnik Juliana Konstantego Ordona bohatera z r. 1831, na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.



Swięto umarłych: Nagrobek ś. p. Mikołaja Zyblikiewicza prez. m. Krakowa i marsz. kraj. na cmentarzu krakowskim.



Swięto umarłych: Pomnik historyka Karola Szajnochy na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.



Swięto umarłych: Krzyż dębowy ku pamięci poległych w roku 1863, zdobiący cmentarz łyczakowski we Lwowie.



Swięto umarłych: Pomnik Seweryna Goszczyńskiego na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.

Zgon księżniczki.

Hiszpania okryła się żałobą przez śmierć infantki Maryi de las Mercedes, piastującej tytuł księżnej Asturyi – najdawniejszej prowincyi chrześciańskiej w Hiszpanii. Zmarła była starszą siostrą obecnie panującego króla Alfonsa XIII, a córką króla Alfonsa XII., z jego drugiego małżeństwa z arcyksiężniczką Maryą Krystyną austryacką. Urodzona w Madrycie w r. 1880 poślubiła w dwudziestym pierwszym roku swego życia hr. Karola Burbońskiego.

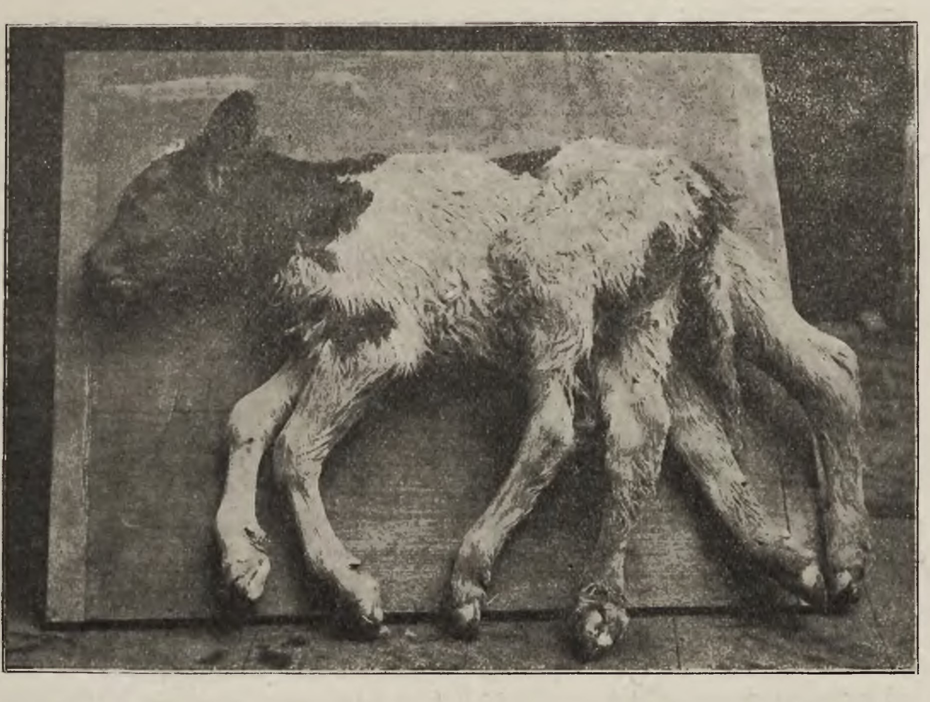
Wiadomość o zgonie infantki w Madrycie wywarła tem większe wrażenie, że przyszła niespodziewanie — księżna zmarła po przedwczesnem wydaniu na świat potomka.

Madrycka gazeta „*Correspondencia*“, utrzymująca bliskie stosunki z dworem hiszpańskim tak opowiada o ostatnich chwilach infantki.

„Biuletyny, o przebiegu słabości brzmiały zupełnie zadowalniająco. Nagle dnia 16 b. m. w południe wystąpiły groźne objawy zapalenia otrzewnej, a przedsięwzięta operacya nie odniosła skutku. Infantka, czując, że umiera, pojednała się z Bogiem prawdziwie po chrześciańsku, jak na księżnę arcychrześciańskiej Asturyi przystało.

Chora z całą przytomnością pożegnała się z obecnymi, ucałowała męża, matkę i brata króla, który blady niezmiernie nie mógł oprzeć się spazmatycznemu łkaniu. Następnie omdlała i w omdleniu tem o godzinie 2 w południe wyzionęła ducha.

Jak kochaną była księżna dowodzi fakt, że królowa matka sama umyła zwłoki jej i przy pomocy dam pałacowych ubrała je w habit karmelitański, w którem ją pochowano.

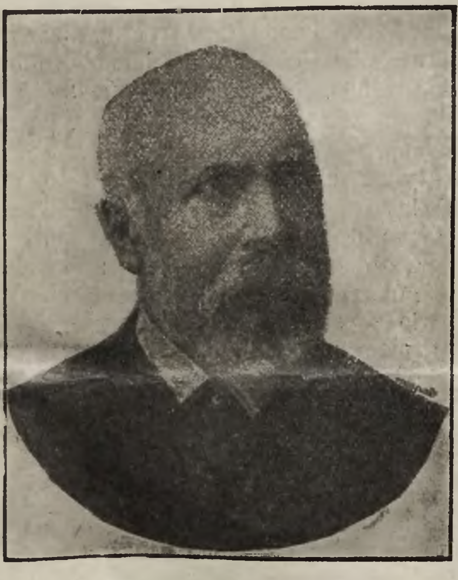


Dziwny wybryk natury. Fot. „Janina“, Nowy Sącz.
Cielę o sześciu nogach w Zabełczu pod Nowym Sączem.

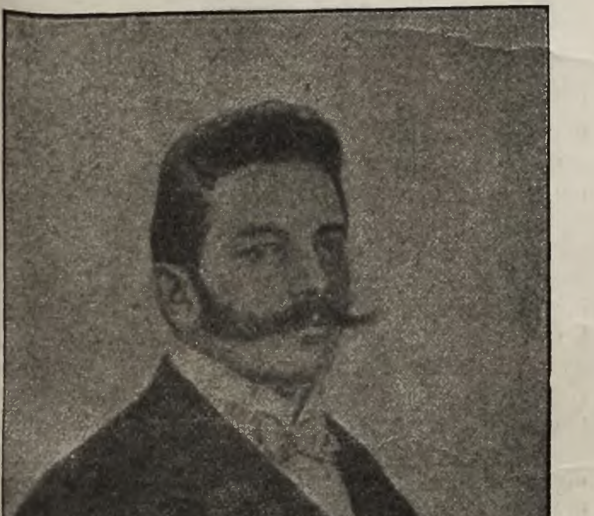
Noc całą rodzina królewska czuwała przy zwłokach. Życie niemowlęcia, którego przedwczesne przyjście na świat opłaciła infantka życiem, jest zagrożone.

Pogrzeb zmarłej księżnej Asturyi odbył się w dniu 19 października: pochowaną została w grobach królewskich w Panteonie Escorialu wobec rodziny oraz ks. Ferdynanda Bawarskiego, umyślnie przybyłego na wieść o zgonie do Madrytu.

Tytuł infanta odziedziczył ks. Alfons Marya.



Ohydna zbrodnia we Wiedniu: Jan Sikora b. członek rady miejskiej we Wiedniu, zamordowany przez Kleinów.



Ohydna zbrodnia we Wiedniu: Henryk Klein, morderca ś. p. Jana Sikory.

Dziwny wybryk natury.

Matka przyroda pozwala sobie czasem deptać własne prawa, tworzy karykatury i potworki, o jakich się nawet ludziom nie śniło, i nieraz zdaje się, że sama kpi ze siebie.

Dzienniki dość często przynoszą wiadomości o takich najróżnorodniejszych wybrykach natury, jakie się tam lub ówdzie trafiają i bardzo często, czytając opisy tych potworków, albo wierzyć się nie chce w ich istnienie, albo też wprost nie można sobie wyobrazić, jak wygląda tego rodzaju dziwo.

Oryginalny taki twór ujrzał w ostatnich dniach światło dzienne w Zabełczu, dobrach p. Kosterkiewicza pod Nowym Sączem.

Krowa dworska porodziła tam cielę o sześciu odnóżach. Aby naszych P. T. Czytelników zapoznać z tak oryginalnym ssącym sześcionogiem, podajemy jego podobiznę zrobioną według fotograficznego zdjęcia.

Krase to cielątko dziwnie jest ukształtowane: posiada cały przód ciała i łebek nie tylko normalnie, ale nawet bardzo symetrycznie zbudowany.

Natomiast dziwaczną jest tylna część jego tułowia, z której wyrastają aż dwie pary odnóż tylnych, wykształconych wprawdzie, ale bezwładnych.

Dodać należy, iż — jeśli się możemy tak wyrazić — obie tylne części tułowia tego potworka zdobi jeden tylko ogonek.

Dziwny ten wybryk natury budzi w całej okolicy Zabełcza ogromne zainteresowanie i tłumy ściągają do dworu, aby na „własne oczy“ oglądnąć to dziwo.

Ludzkość jest zawsze jeszcze strasznie ciekawa i chciwa, nawet choćby takich senzacyi!...

Ohydna zbrodnia we Wiedniu.

Powracamy do tematu, który poruszyliśmy w ostatnim numerze „Nowości illustrowanych“ do ohydnej zbrodni, jaką spełniono we Wiedniu na ś. p. Janie Sikorze.

Jak wspomnieliśmy, morderców starca Kleinów przychwycono w Paryżu.

Zbrodnicze stadło po dokonaniu morderstwa musiało uciekać i uznało, że w tak wielkiem mrowisku ludzi, jakiem jest Paryż najłatwiej zdoła się ukryć przed dłonią karzącej sprawiedliwości.

Przybywszy do Paryża, Kleinowie zamieszkali na ulicy Saint Denis i rozpoczęli życie średnio zamożnych kapitalistów. On chodził do kawiarni do kawiarni, lub spędzał czas na gruchaniu z swoją kobietką, ona odgrywała rolę niezmiernie zapobiegliwej gospodyni, sama chadzała na targ i przynosiła do domu w eleganckiej torbeczce poczynione zakupy.

I zdawało się im, że nikt nie odkryje miejsca ich pobytu, że nikt w tak przykładnem i spokojnem małżeństwie związanem się państwem Kuhn nie domyśli się morderców Sikory, Kleinów.

Ale zawiodły ich te rachuby. Rozesłane przez policyę wiedeńską listy gończe i fotografie Kleinów dokonały swego zadania.

Wpadły one w rękę któremuś z lokatorów tej kamienicy, w której zamieszkali Kleinowie, i wzbudziły w nim pewne podejrzenia co do autentyczności państwa Kuhn.

Nielitościwy ten lokator podejrzeniami swojemi i domysłami osnutemi na tle fotografii i na dane przybycia państwa Kuhn do Paryża podzielił się z policyą, która przypuszczenia owe uznała za całkiem uzasadnione.

W chwili, gdy Kleinowie czuli się zupełnie bezpieczni, spadł na nich grom z jasnego nieba.

Do pomieszkania ich wtargnął najniespodziewaniej szef policyi paryskiej Mr. Hamard na czele orszaku żołnierzy.

— „Wy jesteście mordercami Sikory“!... — zawołał bez żadnych ogródek Mr. Hamard.

Zbrodnicze stadło pobladło, zobaczyło, że przepaść otwiera się pod ich nogami.

Po krótkim oporze, po bezskutecznych próbach tłumaczenia się, w krzyżowym ogniu pytań Mr. Hamarda przyznali się Kleinowie do zbrodni...



Śmierć księżniczki: † Marya de las Mercedes księżna Astuzyi.

Aresztowano ich natychmiast i niebawem po załatwieniu zwykłych w takiem wypadku formalności dyplomatycznych, rząd francuski wyda morderców w ręce rządu austryackiego.

Rzecz jednak ciekawa, że cała ta sprawa zaczyna się teraz na nowo wikłać. Oto wspólnik handlowy Kleinów, ów F. Pietsch, który pierwszy powiadomił policyę wiedeńską o znalezieniu zwłok ś. p. Sikory w pomieszkaniu Kleinów, na wieść o ich aresztowaniu umknął z Wiednia i zniknął bez śladu.

Czyżby i na nim ciężyła zbrodniczo przelana krew starego Sikory?!...



Ohydna zbrodnia we Wiedniu: Fr. Klein morderczyni ś. p. Jana Sikory.

Wiarołomna żona.

WSPOŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

5 (Ciąg dalszy).

— Nie wspominaj mi o tym człowieku! — odezwała się surowo księżna — nie wspominaj mi o nim i przestań wylewać te łzy, bo one ci wcale nie pomogą! Jak rzekłam tak się stanie i koniec!

— Boże litościwy! jęknęła księżniczka i straciwszy przytomność upadła na podłogę, zasłaną smyrneńskim dywanem.

Pod pręgierzem losu.

Biedna Hania chwiejnym krokiem zdążała z książęcego zamku do leśniczówki.

Przyszedłszy do domu, wprost przez pokój ojca udała się do izdebki, w której na małem łóżeczku leżały martwe zwłoki jej brata.

Tu klękła i utkwiwszy wzrok w wiszącym nad łóżkiem wizerunku Najświętszej Panienki, poczęła się modlić gorąco.

Wtem poza jej plecami na progu izdebki zaszeleściały jedwabie.

Hania oglądnęła się i zobaczyła macochę strojną w bogatą czarną suknię, bladą, z zaczerwienionemi od płaczu oczyma.

Na widok Hani, Klara czemprędzej cofnęła się z pokoju, ale, gdy dziewczę, skończywszy swe modły, weszło do salonu, macocha przystąpiła do niej i rzekła złośliwie.

— Więc płaczesz teraz? więc opłakujesz w końcu swoją długojęzyczność?!...

— Moją długojęzyczność?!... — zawołała oburzona Hania — ależ to ty sama zdradziłaś przed nim twą tajemnicę, to tyś zrobiła mego ojca mordercą!...

— Nie moja wina, że ojciec postąpił sobie jak szalony — rzekła, wzruszając ramionami, Klara — ale ty podła dziewczyno odkryłaś mu wszystko!... Ty powiedziałaś mu o mojej wycieczce do chatki myśliwskiej...

— Ja?!... ależ nigdy!... Ojciec znalazł w twoim pokoju list księcia Ferdynanda! Ale matko powiedz, czy nie dołożysz starań, aby uratować mojego ojca, czy zechcesz uchronić go przed straszną karą, przed hańbą, jaka go czeka?!...

— A cóż ja mu mogę poradzić? — odezwała się chłodno Klara — tyle, co i ty, albo mniej jeszcze! Trudno! Sternegg musi odpokutować za swoje szaleństwo!...

— Podła! — krzyknęła oburzona Hania — podła! Toś ty powinna odpokutować tę straszną historyę, ty, bo po twojej stronie jest wina, wiarołomna żono! Ty powinnaś ponieść karę, bo ty jesteś przyczyną tego wszystkiego!... I pamiętaj, że kary nie ujdziesz, ty nędznico, która nietylko zabrałaś mi ojca, ale nie mając dość książęcej miłości, ujęłaś w swe sieci mego ukochanego Ryszarda!...

— Ryszarda?!... Czyś ty oszalała dziewczyno? Aha! rozumiem! Widziałaś nas przecie oboje w altanie... Ale bądź spokojna! Między nami nie było nawet mowy o miłości! On chciał... ale po co ci mam o tem wspominać? Zapytaj go sama, bo oto właśnie ten twój pan Ryszard sam nadchodzi!...

To rzekłszy Klara usunęła się do swojego buduaru.

Hania zmieszana spojrzała ku drzwiom. W progu stał baron Ryszard.

Młody mężczyzna szybko podszedł do Hani.

— Musisz mnie wysłuchać najdroższa — rzekł chwytając ją za rączki — dlaczego wczoraj uciekłaś z altany? Dlaczego nie zaczekałaś na mnie, choć cię wołałem? O, czyś ty naprawdę zdolna była uwierzyć, że ja cię zdradzam, że ja ciebie oszukuję? Z twoją macochą rozmawiałem tylko w sprawie mojego spadku!...

I Ryszard w urywanych słowach opowiedział Hani wczorajszą swą rozmowę z macochą.

Hania z głośnem łkaniem rzuciła mu się na szyję.

— Ryszardzie! mój drogi Ryszardzie, a ja już myślałam, żeś ty dla mnie na wieki stracony!...

— A twój ojciec, Haniu? — przerwał szybko dalsze jej wynurzenia Ryszard — czy to prawda, co słyszałem o nim, czy to prawda, że dopuścił się zamachu na księcia?

Uśmiech szczęścia, który przez chwilę zabłysnął na zroszonych łzami licach dziewczęcia, zniknął bezpowrotnie.

— Tak, Ryszardzie! Biedny, mój biedny ojciec!...

— Boże! — zakrzyknął Ryszard — opowiedz mi Haniu, jak to się stało właściwie?...

Hania, rumieniąc się od wstydu, opowiedziała Ryszardowi, jaką hańbą okryła Klara uczciwe nazwisko Sterneggów.

Młody baron ze zgrozą słuchał tej strasznej opowieści.

— Nie trać nadziei najdroższa — rzekł, gdy Hania skończyła opowiadanie — twój ojciec musi być uratowany!...

— Ach, Ryszardzie! — westchnęło biedne dziewczę — ja już zupełnie straciłam nadzieję! Byłam w zamku, ale ten straszny hrabia Wurm kazał mnie wypędzić za bramę.

Uczucie wstydu nie pozwoliło Hani opowiedzieć dokładnie o całem zajściu narzeczonemu. Nie chcąc więc, aby Ryszard dopytywał się o szczegóły tej wizyty w zamku, skierowała rozmowę na poprzedni temat.

— Więc moja macocha ma jakieś prawa do twojego majątku Ryszardzie?

— Tak! — odpowiedział młody baron — prosiłem jej, aby wydała mi akt darowizny, jaki jest w jej ręku. A i teraz muszę jeszcze z nią o tem pomówić, bo wczoraj nie chciała się przychylić do mojej prośby...

— Wszakżeś powiedział, że Izabela Kronberg sama zgodziła się na to?

— Tak! a nawet powiem ci Haniu dlaczego pani Kronberg była tak wspaniałomyślną. Ona za młodu kochała się w moim ojcu i twoja macocha jest moją siostrą przyrodnią... córką Izabeli Kronberg.

— Co ty mówisz, a ona, moja macocha wie o tem?!...

— Klara? nie!... Ona jest święcie przekonana, że Izabela jest jej ciotką!... Ale jeśli Klara dziś nie zechce wysłuchać mej prośby, jeśli mi znów da odmowną odpowiedź, to powiem jej wszystko otwarcie, choć Izabela nie życzy sobie tego bynajmniej. Gdy Klara dowie się, że jestem jej bratem, to chyba zgodzi się na moją prośbę!...

Hania chciała coś na to odpowiedzieć, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła zadyszana matka Ryszarda.

— Ryszardzie! Dziecko moje! — zawołała baronowa Adlersfeld — przyszłam cię ostrzedz! Uciekaj! uciekaj mój synu! nie wahaj się ani minuty! Nie zwlekaj! uciekaj jak najprędzej!...

— Boże! — krzyknęła przelękniona Hania — dlaczego Ryszard musi uciekać?!...

— Izabela została zamordowana — zaczęła baronowa Adlersfeld, łapiąc szybko oddech — wczoraj wieczorem została zamordowana! A ty, Ryszardzie, ty moje biedne dziecię...

Baronowa Adlersfeld z płaczem upadła na krzesło.

— Zamordowana? — krzyknął przerażony Ryszard — Izabela zamordowana? Boże! Więc teraz wszystko stracone!...

— Tak! — zaczęła na nowo baronowa Adlersfeld — została zamordowana, a ty mój synu jesteś oskarżony o tę zbrodnię! Och! uciekaj, uciekaj Ryszardzie! Policya już cię szuka! Żandarmi już idą tutaj!

— Ach, uciekaj! uciekaj Ryszardzie! — zawołała Hania — uciekaj, bo wkrótce mogłoby być zapóźno!...

Ryszard stał jak skamieniały na środku pokoju, nie zdając sobie sprawy z położenia, w jakiem się znajdował, gdy rozległo się głośne pukanie w drzwi.

Na progu ukazał się urzędnik policyjny w towarzystwie dwóch żandarmów.

Urzędnik policyjny szybkim krokiem podszedł do Ryszarda i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł ponuro:

— Baronie Ryszardzie Adlersfeld w imieniu prawa i karzącej sprawiedliwości aresztuję pana jako oskarżonego o zamordowanie i obrabowanie Izabeli Kronberg!...

Stara baronowa słysząc te słowa omdlała i jak nieżywa zwaliła się na podłogę.

— Wstrzymajcie się! wstrzymajcie się! — krzyknęła rozpaczliwie Hania rzucając się Ryszardowi na szyję — on jest niewinny!...

— Czy ma pani na to jakie dowody? — zapytał chłodno urzędnik przystępując do Hani.

Dziewczę zamilkło. Cóż ona mogła powiedzieć? Jakie dowody niewinności narzeczonego mogła przedłożyć? Swoje wewnętrzne przekonanie?

Ach! wszak na nie sprawiedliwość nie zwróciłaby nawet uwagi!...

— Czy mogę dowiedzieć się na czem opiera pan to swoje oskarżenie? — zapytał tymczasem Ryszard z godnością urzędnika.

— Zamiast stawiać mi takie pytanie, zamiast wypierać się popełnionej zbrodni, wolałby pan, baronie Adlersfeld, przyznać się odrazu do wszystkiego — rzekł chłodno urzędnik — to udawanie pańskie na nic się nie przyda, bo my jesteśmy przekonani o pańskiej winie i dowody jej mamy w ręku!...

— Ależ na Boga! ja o niczem nie wiem — zawołał Ryszard oburzony — jak możesz mnie pan oskarżać? Dopiero przed chwilą dowiedziałem się od matki, że...

— Czy pan nie byłeś wczoraj wieczorem u zamordowanej? — przerwał mu komisarz niecierpliwie.

— Byłem.

— W jakim celu?

— Ja to panu wyjaśnię — odezwała się pospiesznie matka Ryszarda. — Zaledwie mój mąż ostatnie wydał tchnienie, zjawiła się u nas pani Kronberg i oświadczyła, że nas oboje wyrzuci z majątku, bo go nabyła, zapłaciwszy wszystkie długi, które na nim ciążą. Nie wiedzieliśmy o tem, nie przeczuwaliśmy tego, bo pani ta działała skrycie. Groźba była straszną; lękając się raczej o mnie, niż o siebie, naraził się mój syn na upokorzenie i poszedł prosić panią Kronberg o cofnięcie groźby.

— A ona zwróciła mi ojcowskie mienie, bo zniszczyła wobec mnie wszelkie skrypta dłużne — dodał Ryszard.

— A to szczególne! — rzekł komisarz z odcieniem szyderstwa. — Czy to podobne, aby pani Kronberg tak nagle zmieniła postanowienie?

— Tak panie, mogła je zmienić, bo... — nie dokończył Ryszard, by nie odsłaniać tajemnic rodzinnych przed obcym człowiekiem.

— Daremne wszelkie wybiegi, panie Adlersfeld — rzekł komisarz spokojnie i stanowczo. — Sprawa bardzo jasna. Udałeś się pan do pani Kronberg, aby jakimkolwiek sposobem dostać skrypta dłużne. Wiedziałeś pan o tem, że mieszka w samotnym domu, śród lasu i że to panu ułatwi wykonanie planu. Chciałeś pan wyjednać sobie zwrot papierów prośbą... to być może, ale na wypadek, gdyby się to nie powiodło, miałeś w pogotowiu inny środek... a mianowicie sztylet.

— Sztylet? co pan mówi? ależ to wszystko nieprawda!

— O, panie Adlersfeld, przecież pan nie zaprzeczy, że to sztylet pański — rzekł komisarz poważnie pokazując sztylet Ryszardowi. Wszakże na pochwie wytłoczone pańskie nazwisko. Tym sztyletem zamordowano panią Kronberg. Czyż i teraz nie przyznasz się pan do winy?

Matka Ryszarda załamała ręce.

— Boże! Boże! jak wszystko sprzysięga się przeciw tobie, dziecko moje ukochane!

Ryszard spoglądał na zakrwawiony sztylet w osłupieniu, nie mogąc pojąć jak się to wszystko stało.

— Czy pan możesz zaprzeczyć, że to sztylet pański? — zapytał komisarz.

— Przyznaję, że mój.

— Czy miałeś go pan z soba, idąc wczoraj do pani Kronberg?

— Miewam go zawsze przy sobie, a wczoraj zostawiłem w kieszeni płaszcza.

— A więc mamy potwierdzenie zeznań, które poczyniła gospodyni zamordowanej.

— Jej zeznań? Cóż ona zeznać mogła? Ależ to wszystko jest jakąś straszną zagadką, jakąś iście piekielną robotą! — zawołał Ryszard.

— Istotnie panie Adlersfeld, robota piekielna, ale zagadki niema żadnej. Sprawa zupełnie jasna. Jeżeli była zagadka, to rozwiązała ją gospodyni. Zeznała, że pan przybyłeś do mieszkania zamordowanej bardzo rozdrażniony, niespokojny, że domagałeś się niecierpliwie rozmowy z panią Kronberg. Zdejmując płaszcz w przedpokoju, wyjął pan z niego sztylet — tak zręcznie, że gospodyni nie spostrzegła. Zacząłeś pan prosić o zwrot skryptów dłużnych, a gdy to nie pomogło, zasztyletowałeś bezbronną kobietę. Uczyniłeś to tak prędko i z takim zamachem, że ofiara pańska nie zdołała nawet jęku wydać. Gospodyni była w przedpokoju i nic nie słyszała. Potem przetrząsałeś w pospiechu papiery i korespondencyę zamordowanej, dopóki nie wpadły w pańskie ręce owe pożądane skrypta dłużne. Rzuciłeś je w ogień, płonący na kominku, a śpiesząc się, zapomniałeś wyjąć sztylet z piersi zamordowanej. Natomiast nie omieszkałeś wypróżnić szkatuły pani Kronberg, a było w niej około dziesięciu tysięcy marek banknotami i obligami publicznymi. Tak wzbogacony wypadłeś pan prędko z pokoju. Gospodyni, nie przeczuwając niczego, odprowadziła pana przez ogród do bramy i zamknęła ją za panem. Wróciwszy, udała się do swojej pani — i zastała morderstwo i kradzież!

Ryszard stał oniemiały i bezwładny. Nie mógł zdać sobie sprawy czy to wszystko dzieje się na jawie, czy to tylko sen straszny. Doznawał wrażenia, jakoby ziemia go pochłaniała, jakby go dławiono.

— Czy i teraz nie przyznasz się pan do tego, żeś zamordował panią Kronberg i okradł?

— Ja mordercą?! złodziejem?! Boże wielki! Czyście oszaleli? Ja złodziejem? ja mordercą? — krzyknął rozpaczliwie Ryszard. — Ależ zastanów się pan, pomyśl, czy to możliwe! Jestem niewinny! Boże najświętszy, ocal mnie, daj świadectwo niewinności, wskaż zbrodniarza! Mój sztylet tkwił w piersi ofiary! Jakim sposobem? Kto go dobył z mojego płaszcza?

— Skończmy już tę sprawę. Niema żadnej wątpliwości, że przed panem nikt nie był owego wieczora w domu pani Kronberg. Gdyby kto inny dopuścił się owej zbrodni, toć musiałby dostać się do przedpokokoju, aby wyjąć pański sztylet z płaszcza; tego zaś nikt nie uczynił, bo gospodyni była cały czas w przedpokoju.

— A więc czerwona Maryna popełniła zbrodnię! — zawołała matka Ryszarda, jakby natchnieniem jakiemś ożywiona.

— Proszę wybaczyć łaskawa pani, że się z tem nie zgodzę, bo zgodzić nie mogę. Jakżeż mogła wiedzieć gospodyni, że w płaszczu był sztylet? A czyż można przypuścić, aby ręka starej kobiety zdołała zadać cios tak silny, tak śmiertelny? Wreszcie nie podobna domyślić się powodu, dla któregoby owa sługa chciała swą panią pozbawić życia.

— A jednak mogłabym na to przysięgać! Miłość macierzyńska miewa jasnowidzenia. Mordercą i złodziejem jest „czerwona Maryna“, powtarzam to wobec Boga i ludzi.

— Moja macocha poświadczy, że Ryszard prosił ją wczoraj wieczorem, aby zwróciła akt darowizny, który od ciotki otrzymała. Uczynił to z upoważnienia pani Kronberg — odezwała się Hania.

W tej chwili stanęła we drzwiach Klara w wykwintnym stroju podróżnym. Usunąwszy z twarzy woalkę, spojrzała wyniośle na wszystkich. Po za nią ukazał się kamerdyner księcia, ale zaraz się cofnął zakłopotany, jakby chciał uniknąć spojrzeń, które się ku niemu zwróciły. Hania rzuciła się ku przybyłej i składając błagalnie ręce zaklinała ją o użyczenie Ryszardowi pomocy.

— Ocal go! ocal! chcą go uwięzić jako mordercę twej ciotki, a on przecież niewinny! Wszakże wczoraj rozmawiał z tobą — prosił...

— Jakto? co słyszę na Boga?! moja ciotka zamordowana? — krzyknęła Klara.

— Tak pani — rzekł komisarz — a na pana Adlersfelda pada silne podejrzenie, że jest sprawcą tej zbrodni. Czy pani nie mogłaby udzielić mi jakich wyjaśnień w tej sprawie?

Klara nie odpowiedziała. Przez kilka sekund wpatrywała się przenikliwym wzrokiem to w Hanię, to w Ryszarda. Złość i nienawiść kłębiły się w jej duszy, aż wylały się w słowach gwałtownych.

— Niegodziwy morderco mej ciotki! Splamiony jej krwią, chciałeś wczoraj wyłudzić u mnie akt darowizny, aby sobie łup zapewnić. A, rozumiem teraz! Kłamałeś, mówiąc, że moja ciotka rzuciła w ogień wszystkie skrypta dłużne. Nie ona je w ogień rzuciła, ale pan to sam uczyniłeś!

Hania, pełna rozpaczy i oburzenia, zwróciwszy się do Klary, zawołała:

— Jak ty śmiesz nazywać go mordercą? kobieto! upamiętaj się! przecież to szaleństwo!

Potem, chwyciwszy Ryszarda za rękę, mówiła błagalnym głosem:

— Nie ukrywaj tajemnicy, powiedz wszystko. Niech ta kobieta się dowie, czem jest dla ciebie, niech się dowie, dlaczego Izabela Kronberg spaliła skrypta dłużne.

— Powiem wszystko — rzekł Ryszard, wysilając się, by mówić spokojnie — powiem krótko. Mój ojciec jest także ojcem Klary, a Izabela była jej matką. To mi wczoraj pani Kronberg wyznała. Uniesiona zemstą i nienawiścią wykupiła wszelkie skrypta dłużne, by nas zniszczyć, a obdarzyła aktem darowizny nabytego majątku swą córkę, Klarę. Gdy odezwało się w niej szlachetniejsze uczucie, cofnęła wszystko, nie chcąc, by siostra wypędziła swego brata z rodzinnego gniazda i skazała go na kij żebraczy.

Przez chwilę trwało grobowe milczenie. Przerwała je Klara szyderczym śmiechem.

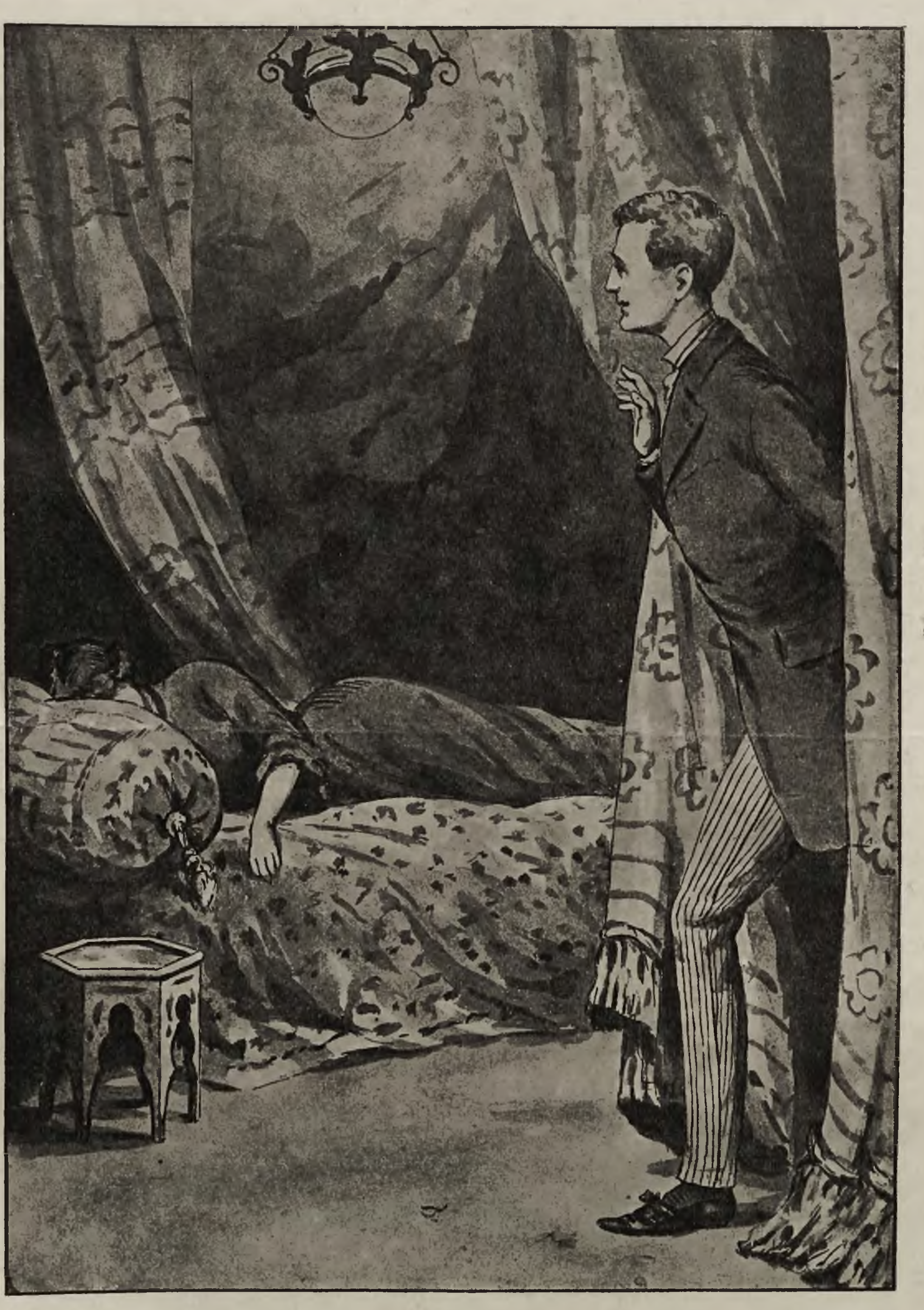
— A cóż to za nikczemne kłamstwo! — zawołała z oburzeniem. — Znieważasz pan nie tylko mnie, ale i ofiarę swej zbrodni i cześć własnego ojca.

— Mój syn powiedział prawdę — rzekła uroczyście matka Ryszarda.

Nie wierzę, odpowiedziała Klara. Niegodziwe baśnie, urojone po to, by ocaliły zbrodniarza. Mordercę mej ukochanej ciotki przeklinam i żądam dla niego kary Boskiej i ludzkiej.

— Kobieto bez serca — zawołała Hania z rozpaczą. Dlaczego chcesz gubić niewinnego, dlaczego, dlaczego ścigasz go nienawiścią?

— Dość tego, rzekł komisarz. Nie pora dociekać teraz tych spraw i tajemnic rodzinnych. Panie Adlersfeld jesteś w tej chwili więźniem obwinionym o popełnienie morderstwa i rabunku. Biorę pana z sobą.



Stanął, spojrzał i zachwycił się widokiem uroczej...

Matka rzuciła się na szyję synowi i przyciskała go do piersi, a łez strumienie spływały z jej oczu na pochyloną głowę więźnia.

Przystąpili żandarmi.

— Oddajcie mi dziecko moje niewinne! wołała z rozpaczą i postępowała za synem — puśćcie go — puśćcie! To dziecko moje!

— Matko moja! matusiu moja najdroższa, uspokój się, miej ufność w Bogu! Bóg nas nie opuści, Bóg wykaże moją niewinność — szeptał Ryszard łkając i całując ręce matki.

Żandarmi uprowadzili Ryszarda — zaturkotał powóz, którym go odwieziono do więzienia — matka upadła u bramy domu zalana łzami.

Przed Hanią stała jeszcze Klara i znęcała się nad nią. Zimna, szyderska, demoniczna, syczała raczej, niż mówiła:

— Nie zobaczysz już ani ojca, ani kochanka! Tak! już nie masz nikogo, tylko nędza wyciągnie ku tobie skrzydła, obejmie cię, zdławi. Z tego dworu wyrzuci cię wkrótce następca ojca. Idź w świat, zarabiaj ciężko na chleb codzienny, wypieszczony gagatku. Ja ci nic nie dam, rozumiesz, nie dam nic.

Hania nie odpowiedziała ani słowa. Uklękła i łzami gorzkiemi modliła się do Boga. Klara rzuciła na nią spojrzenie pełne nienawiści i dumy i odeszła. Przed domem czekał na nią kamerdyner księcia, aby jej towarzyszyć do rezydencyi książęcej.

Cisza nastała w nieszczęsnym domu. Hania zatopiona w modlitwie nie słyszała, jak się drzwi otworzyły. Wszedł ochmistrz dworu Wurm i stanął z nienacka przy Hani. Spostrzegłszy jego twarz wyuzdaną, krzyknęła z przerażenia.

Wzgardzona miłość.

Cisza wieczorna ogarniała zamek książęcy, po krużgankach ciemniało coraz bardziej; ponura poezya nocy zaczęła przemawiać ze sklepień zamkowych, z kolumn stojących rzędem na straży krużganków. Światła lamp rozpływały się i tonęły we falach ciemności. Kobieta, o postaci kształtnej, powabnej, dystyngowanej, okryta welonem, szła ostrożnie korytarzem. Niekiedy zatrzymywała się nadsłuchując, czy kto nie idzie. Nie potrzebna była ostrożność, bo w tej części zamku nikt nie mieszkał, nikt tędy nie chodził. Na końcu korytarza stanęła u wysokich drzwi, otworzyła je i weszła do zimowego ogrodu zamkowego. Olbrzymia sala pokryta szklannym dachem, ze szklanną ścianą od południa, pusta była i cicha. Tylko palmy wiodły tam z sobą rozmowę, tylko kwiaty śpiące w ogromnych wazonach, marzyły o swej uroczej piękności i tylko księżyc ciekawy wdzierał się srebrzystym blaskiem i przerywał sen kwiatów.

Owa postać kobieca znała tu przejścia wszelakie, bo śmiało przesuwała się pomiędzy krzewy i zdążała ku krańcowi sali. Tam była sztuczna grota, oddzielona od sali piękną jedwabną zasłoną. Kobieca postać weszła do groty i zasunęła szczelnie zasłonę. Ponętnie przyćmione światło różowej lampy tworzyło półcienie, układało myśli do marzeń, uczucia do miłości, a oświetliwszy przybyłą kobietę, powiedzieć jej musiało: jesteś piękna.

— A więc tu będzie czekał na Klarę — rozmyślała przybyła. Nieoceniony ten kamerdyner księcia; jak to łatwo kupić u niego tajemnicę. Kupiłam ją by przecież dostać się do serca Ferdynanda. On musi być moim; ja go wydrę tej awanturnicy. Byłoby dla mnie największem upokorzeniem, gdyby dla mnie hrabianki Landenberg nie poświęcił aktorki, Dziś rozstrzygną się losy. Zwyciężyć muszę, albo zginąć. Więc tu jest świątynia miłości, w której ta awanturnica Klara miewa schadzki z księciem?

Rozejrzała się dokoła. Było tu uroczo. Sklepienia i ściany były naśladowaniem skał. Lekko rzeźbione, wyzłocone krzesełka i stolik stały na uboczu, w głębi biały marmurowy amor, a u stóp jego miękki, kobiercami okryty szezlong.

Hrabianka Landenberg zdjęła welon, ułożyła się na szezlongu i tłumiła niespokojne bicie serca, a myśl jej skupiała się około znienawidzonej rywalki i ukochanego księcia. Czy zwycięży, czy dozna klęski? Słucha, serce jej bije niespokojniej jeszcze, bo słychać szmer, ktoś się zbliża, rozsuwa się zasłona, książę Ferdynand wszedł cicho, ostrożnie. Udała, że śpi.

Stanął, spojrzał i zachwycił się widokiem uroczej postaci kobiecej. Głowę miała ułożoną w cieniu tak, że jej dokładnie zobaczyć nie mógł.

— Śpi — szepnął zachwycony. Pochylił się nad leżącą, objął ją namiętnie i gorącymi pocałunkami rozbudzał.

— O moja ty droga, moja ty jedyna, ty moje bóstwo, jakże jestem szczęśliwy, że mogę oddychać twoim oddechem, że mogę ssać miłość z ust twoich, że...

— Książę! jakże mnie przeraziłeś — odezwała się hrabianka, jakby zbudzona z długiego snu.

Książę Ferdynand odskoczył, jakby przerażony zjawieniem się jakiego widma. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Naprawianie toru kolei mandżurskiej przez japońskich pionierów.



Z wojny ros.-jap.: Karykatura rosyjska, przedstawiająca Port Artura jako jeża, którego Japończyk nie może wziąć do ręki.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Sytuacya. I nastała znów w Mandżuryi taka sama chwila, jak po bitwie pod Liaojanem. Obie armie, tak rosyjska, jak i japońska wyczerpane, znużone, ledwie dyszące, szczerzą do siebie zęby, ostatkiem sił biorą się za bary, ale... Japończyk ma przewagę i Rosyanie przeszli do odwrotu. Cofają się to prawda, ale przytem odgryzają się na każdym kroku...

Ostatnie te walki zarówno marszałek Oyama jak i rosyjscy dowódcy nazywają bitwą nad rzeką Szacho.

Bitwa ta, która trwa już czas dłuższy i toczy się na całym froncie niezwykle szerokim, obfituje w nader krwawe chwile. Dotychczas, jak to nawet rosyjska agencya donosi, armia mandżurska jenerała Kuropatkina straciła trzystu oficerów i trzydzieści tysięcy żołnierzy w poległych lub rannych.

Szef sztabu jeneralnego jenerał-porucznik Sacharow, wysyłający główne raporty do cara i do ministerstwa wojny donosi, że front obu armii wciąż gnie się i łamie, że wojska rosyjskie obwarowują czemprędzej główne pozycye nad rzekami Chun i Szacho, a wynik ostateczny obecnej bitwy jest jeszcze nie pewny.

Ową niepewność potwierdza w swych raportach do mikada i marszałek Oyama, który zaznacza, że główną przyczyną niepowodzeń rosyjskiego oręża są bezplanowe ataki, wykonywane przez pojedyncze oddziały armii rosyjskiej."

W ten sposób przedstawia się sytuacya obecnych walk, w których Rosyanie uzyskali bodaj chwilowy tryumf, zdobywając po raz pierwszy dziesięć dział na Japończykach.

Z Portu Artura. Wiadomości, jakie nadchodzą z Portu Artura, ograniczają się tylko do wzmianek o codziennych atakach, jakie wykonują Japończycy na pozycye rosyjskie. I tam toczą się codzień krwawe walki; tam także setki ludzi padają ofiarą działowego ognia. A ładny to musi być ogień, jeśli Japończycy tylko od strony Wilczego wzgórza ustawili ku Takuszanowi aż czterysta armat, a okręty japońskie od strony morza dniem i nocą pilnują, aby nikt nie mógł się dostać do twierdzy, ani też przedrzeć się z niej na pełne morze. Dniem i nocą czuwają japońscy marynarze i czuwają skutecznie, bo do Czifu z Portu Artura nawet chińskie dżunki nie przywożą już żadnych wiadomości.

Załoga portu, chociaż — jak to donoszą źródła chińskie — wyczerpana, wycieńczona, niewyspana i głodna, walczy z jednakową zaciekłością i zadaje Japończykom znaczne straty.

Z tego też powodu pisma rosyjskie, które mogą śmiało chwalić się dzielnością obrońców Portu Artura zamieściły w ostatnich dniach karykaturę, przedstawiającą tę twierdzę jako jeża, którego Japończyk bezskutecznie usiłuje wziąć do ręki...

Attaché wojskowy austryacki w obozie rosyjskim. Jak wszystkie mocarstwa europejskie tak i Austrya wysłała na pole walk do Mandżuryi reprezentanta swej armii.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Liniewicz.

Na to odpowiedzialne stanowisko minister wojny feldmarszałek Pittreich odkomenderował hrabiego Stanisława Szeptyckiego, kapitana austryackiego sztabu jeneralnego, który w naszych sferach wojskowych uchodzi za jednego z najbardziej uzdolnionych oficerów strategików.

Młody ten oficer po kądzieli wnuk sławnego naszego komedyopisarza Aleksandra Fredry skończywszy Akademię wojskową we Wiedniu, jako porucznik służył kilka lat przy artyleryi. Następnie wstąpił do wyższej szkoły wojennej, a po odbytych tam studyach otrzymał rangę kapitana i dowództwo bateryi w swoim pułku. Niedługo jednak pełnił służbę przed frontem, bo niebawem powołano go do jeneralnego sztabu i powierzono mu obowiązki przy krakowskiej dywizyi kawaleryi.



Z wojny ros.-jap.: Feldm. Jamagata.

Niedawno rozeszły się pogłoski, że kapitan hrabia Szeptycki, został zraniony podczas jednej z potyczek, wkrótce jednak okazało się, że wieść ta jest zwykłą kaczką dziennikarską osnutą przez chciwych senzacyi korespondentów wojennych.

Chunchuzi. Jeśli Japończycy są dla Rosyan strasznym wrogiem, jeśli ten mały naród skutecznie walczy z potęgą moskiewską i zadaje jej ciężkie klęski — to ilekroć straszniejszymi są dla wojsk rosyjskich rozbójnicze bandy Chunchuzów, skończonych straceńców, którzy korzystając z zamieszek wojennych, pełni nienawiści do szynelów i umundurowanych czapek rosyjskich, gdzie tylko mogą dybią na życie Rosyan, nie zapominając przytem, że muszą żyć z rabunku.



Z wojny ros.-jap.: Warta nocna na okręcie japońskim pod Portem Artura.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał-porucznik Sacharow, szef generalnego sztabu przy Kuropatkinie.

Pewni, że dostawszy się w ręce Moskali spotkają się ze śmiercią wśród najokropniejszych męczarni, walczą z wściekłością, broniąc swej własnej



Z wojny ros.-jap.: Japońska Siostra Miłosierdzia.

skóry i przenosząc śmierć w boju nad zgon z ręki kata.

Przed nimi to głównie muszą wojska rosyjskie strzedz linii kolejowej syberyjskiej. W ich to ręce wpadają drobne patrole i oddziały wywiadowcze armii mandżurskiej i — giną bez śladu, gdyż Chunchuzi jeńców nigdy nie biorą i albo w pień wycinają wroga, albo własnemi ciałami zaścielają pole bitwy.

Nie dość jednak Chunchuzom łupów zdobytych w boju. Po dwóch, po trzech, a czasem nawet pojedynczo napadają oni na rosyjskie osady szerząc śmierć, zniszczenie i grabież. Niezawsze jednak udają się im te wyprawy. Niejeden Chunchuz odwagę swą życiem przepłacić musi, bo osadnicy rosyjscy umieją się bronić i nie dają się jak gołębie porywać stepowym tym jastrzębiom...

Obrazki z wojny i pola walk. Prośba rządu chińskiego, aby strony walczące teren swych operacyi przeniosły z pod Mukdenu i tem samem nie narażały na zniszczenie grobowców cesarzy chińskich nie na wiele się przyda, przebrzmi prawdopodobnie bez echa.

Obecnie walki toczą się już w pobliżu tych wspaniałych pamiątkowych budowli i — kto wie, czy dynastya cesarzy chińskich nie postrada raz na zawsze tych drogich jej pamiątek, które lada chwila ogień dział japońskich, lub rosyjskich może obrócić w gruzy lub perzynę.

Trudno jednak nawet żądać, aby strategicy w tak strasznym boju, jaki się teraz toczy, w boju na śmierć lub życie mogli bez strat dla siebie przerzucać się z pozycyi na pozycye i zmieniać teren wojny, byleby tylko zdołali zaoszczędzić kilka budowli chińskich...

Japończycy nie mało teraz mają pracy, bo oprócz walk na froncie, oprócz ustawicznego wznoszenia szańców i fortyfikacyi dla zabezpieczenia ich piechoty i artyleryi, bataliony pionierów z wytężeniem muszą wciąż pracować nad naprawą linii kolejowej mandżurskiej, która dostaje się w ręce zwycięskich wojsk jenerała Kurokiego, Oku i Nodzu.

Rosyanie cofają się wprawdzie, ale baczą, żeby przed każdym swym ruchem wstecz, zburzyć tę część linii kolejowej, którą ma nieprzyjaciel obsadzić, nie chcąc, by z tego tak ważnego środka komunikacyjnego, jakim jest kolej, nikt z wrogów korzystał.

A Japończycy, którym kolej zarówno jest potrzebną tak dla dowozu żywności i amunicyi, jak dla transportu rannych, chociaż chcieliby i potrzebowali gdzieindziej użyć swych pionierów, muszą zatrzymywać całe bataliony przy tej pracy...

Zapewne, że to dla armii japońskiej nie bardzo jest na rękę, ale cóż robić, nieprzyjacielowi trzeba być wdzięcznym za to, że ustępuje, a żądać jeszcze od niego, aby się zupełnie nie bronił, to byłoby już chyba za wiele!...

Rycina nasza, zamieszczona przy tym artykule, przedstawia właśnie tę pracę zwinnych i niestrudzonych pionierów japońskich nad naprawianiem toru kolejowego linii mandżurskiej, który dostał się Japończykom po bitwie pod Liaojanem.

Japońska Siostra Miłosierdzia? Słowa te niejeden z naszych prenumeratorów przeczyta z wielkiem zdziwieniem.

Nie należy myśleć, że instytucya sióstr miłosierdzia jest znaną jedynie cywilizowanej chrześcijańskiej Europie. Siostry miłosierdzia spełniające zadanie swe równie gorliwie jak europejki, posiada także Japonia. Ponieważ zapewne wiadomość ta zaciekawi naszych P. T. Czytelników, podajemy podobiznę jednej z takich żółtych sióstr miłosierdzia, których setki uwijają się w wojskowych szpitalach polnych i są przez Japończyków otaczane zapewne większym szacunkiem, niż rosyjskie mniszki tego rodzaju przez rosyjskich żołnierzy i oficerów.

Do artykułu dzisiejszego dołączamy dwie podobizny wodzów stron walczących: feldmarszałka Yamagaty, który aczkolwiek do tej pory nie brał jeszcze udziału w walkach, to jednak niebawem wyruszy na pole bitwy i rosyjskiego jenerała Liniewicza, komendanta brygady mandżurskiej, stojącej obecnie poza obrębem, w jakim toczą się wciąż krwawe utarczki.



Z Wojny ros.-jap.: Wrota prowadzące do grobów cesarzy chińskich w Mukdenie.



Z wojny ros.-jap.: Hrabia Stanisław Szeptycki, kapitan austr. sztabu jener., attache wojskowy przy armii mandżurskiej.



Z wojny ros.-jap.: Włościanie syberyjscy zabijają Chunchuza-rozbójnika na granicy madżurskiej.

KAZIMIERZ POLLACK.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Lękliwie, nieśmiało zbliżała się do wrót cmentarza jedną jeno wiedziona myślą podniosłą — myślą pomodlenia się nad grobem tej, której życie zawdzięczała, a której znać nie było jej dane.

Była sierotą.

W trzecim dniu niemowlęctwa swego straciła matkę, która do mogiły uniosła ból serdeczny, że dziecku nazwiska ojca zapewnić nie może, oraz tajemnicę, kim był, jak się nazywał.

Matkę złożono na tym oto cmentarzu. do którego się zbliżała, a ją wywieziono do dużego miasta, do obcych ludzi, którzy jej rodziców zastępować mieli.

Dobrzy ludzie!...

Wykarmili, wychowali w dostatkach, dobrocią darzyli, nauki nie skąpili.

A gdy mała Zosia, imieniem matki nazwana, na ładnego wyrosła podlotka, gdy szesnastą wiosnę życia skończyła — na nową, bardziej samodzielną, pełną niebezpieczeństw drogę życia dano jej tarczę, która ją chronić przed złem miała: opiekunowie przedstawili całą prawdę jej pochodzenia — powiedzieli wszystko, wszystko...

I oto dziś — w dzień zaduszny, w dzień święta umarłych — po szesnastu latach znalazła się Zofia w miejscu swego urodzenia, w nieznanem miasteczku na nieznanym cmentarzu, który wśród setek, tysięcy swych mogił miał zawierać jedną ze smiertelnemi szczątkami jej rodzicielki, w sercu młodej dziewczyny odzyskanej.

Lecz tu ją żal ogarnął i ból sercem targnął...

Na spowitych w gęstą opończę srebrnosinej mgły mogiłach tysiącem świateł jarzyły się lampki, setki ludzi, w modlitwie pogrążonych, klęczały u stóp krzyży i pomników i duszą wznosiły się do Boga, a ona — ona jedna — stała tu bezradna, beznadziejna, płaczu bliska — bo matki grobu nie znała, a więc znaleźć nie mogła.

Wprawdzie mogła się była zapytać ludzi starszych, miejscowych, służby cmentarnej — nie śmiała jednak... A nużby ten, coby mogiłę wskazał, chciał przypomnieć smutną historyę jej powstania, a nużby kto spojrzeniem wzgardy pełnem ją obrzucił, a pamięci matki przykrem jakiemś słowem uchybił, a nużby ją o ojca zapytał, a nużby... i tem rumieniec wstydu zbudził na jej licach...

Przechodziła koło dziadów cmentarnych po kilkakroć i nie mogła zdobyć się na odwagę, nie mogła się przemódz, a im więcej do myślenia o swej doli zmuszała się w ten sposób — tem bardziej sieroctwo swe odczuwała. Bocznemi ścieżkami przebiegała cmentarz, unikając spojrzeń ludzi, bo zdawało jej się, że z oczu ludzkich pogarda ku niej wyziera, że palcami ją wytykają, że na jej widok szepcą:

— O! to ta!... to ta... ta... ta!...

I jeszcze okropniejszy ból targał jej serce, bo tem większe czuła opuszczenie, osamotnienie, tem większą niedolę, że nawet skarżyć się nie mogła tak, jako ci pochyleni nad mogiłami najbliższych i najdroższych, w modlitwie otuchę znajdujący.

Oczyma łez pełnemi szukała mogiłki jak najbiedniejszej, jak najskromniejszej — takiej zaniedbanej zupełnie, bo taką w wyobraźni swej widziała mogiłę opuszczonej przez wszystkich matki.

Lecz choć wiele takich mogił było, wszystkie w dniu tym opiekuńcze jakieś dłonie przyozdobiły mniej lub więcej skromnemi wianuszkami — na wszystkich wyciśnięte było piętno pamięci...

Jedynie hen — hen — na skraju cmentarza pod murem, ze starości omszałym, znalazła kilka takich mogiłek, zapadniętych, z darnią zczerniałą, z połomanymi spróchniałemi krzyżami.

Nad jedną z nich, najuboższą, najskromniejszą, tablicy pozbawioną, klękła cicho i, twarz w dłonie ukrywszy, gorąco modlić się zaczęła. A wraz z modlitwą, pogodnie poczętą, wstąpiła do duszy dziewczyny otucha, serce raźniej, swobodniej zabiło, a oczy, w mogiłę utkwione, blaskiem szczęścia wypogodniały. Zasłuchana w szept własnej modlitwy, której słowa echo wraz z ptasząt świergotem i że smętnie zawodzącym poszumem wichru niosło — hen — hen — wznosiła się myślą ku górze, ku niebu, jakby tam ujrzeć się spodziewała tę, której nie znała, a na której wspomnienie obudziła się w niej miłość dziecka dla rodzicielki, cześć dla jej imienia niepokalanie czysta, tęsknota ku nieznanej jej pieszczocie i dobroci. Zatopiona we własnych myślach, natchniona jakby i wirem ukojenia i zapomnienia porwana, nieruchomo długo pozostawała na klęczkach, nic — zda się — nie widząc wokół siebie i na nikogo nie zwracając uwagi.

Gdy przestała się modlić słowami i w niemem ukojeniu pogrążyła się cała, szumu wichru jeno słuchając, który w wyobraźni jej tworzył podniosłe archanielskie hymny, tak harmonizujące ze stanem jej duszy, ulatującej w nieznane — hen — dale, o uszy jej obiło się nazwisko matki...

Drgnęła... zrazu myślała, że to suggestya; gdy



jednak obejrzała się poza siebie, ujrzała dozorcę cmentarza, stojącego przed nią z poważnym siwiejącym już mężczyzną, który, nawiązując rozmowę do poprzednich słów dozorcy, pytał z naciskiem:

— Więc to napewno w tym grobie pochowano Zofię Zarzecką?

— Ależ napewno panie, przed szesnastu laty...

Zofia nie słyszała już nic więcej; oczy jej mgłą zaszły, serce gwałtowniej zabiło, a w mózgu krwią nabiegłym powstała myśl:

— To ojciec!..

Lecz okrzyku tego wydać nie mogła. Wyczerpana z sił, dźwignęła się ostatnim wysiłkiem i z przeraźliwym spazmatycznym płaczem osunęła się opodal na sąsiednią mogiłę...

Chłodną, wilgotną ziemię w uścisku jakby objęła, wybuchając co chwila silniejszym atakiem spazmów.

Dozorca odszedł, wzruszywszy ramionami, a przyprowadzony przez niego mężczyzna, zmieszany tem dziwnem zachowaniem się młodej dziewczyny, zbliżył się ku niej troskliwie i rękę na rozpalonej główce położywszy, jął uspokajać płaczącą:

— Dziecko, dziecko moje!... Co tobie?... powiedz — co ci?...

Nie mogła zapanować nad sobą, nie mogła słowa wymówić...

— Dziecino! uspokój się — powtarzał — uspokuj — proszę, błagam... dziecię!

— Dziecię! dziecię! powtórzyła za nim, by echo, usiłując powstrzymać się od płaczu, a lice jej dziwną zapałały radością.

Podniósł ją z ziemi, do piersi swej przycisnął, otulił ramionami i znów szeptał wzruszony, onieśmielony:

— Dziecko, dziecko moje...

— Więc tyś mój ojciec! — przerwała mu, uspokojona pozornie.

— Ojciec?...

— Więc tyś przyszedł — pytała dalej nie zwracając uwagi na pierwsze jego pomieszanie, zdziwieniem upozorowane — więc tyś przyszedł na grób mojej biednej matki?

— Matki twojej?...

— Tak, wszak wymówiłeś jej nazwisko; jej i moje imię! Ojcze! ojcze mój, jaka ja szczęśliwa! — wołała rzucając mu się na szyję i znów płakać zaczęła — płakać łzami radości. — Ojcze! ojcze! nazwijże mnie córką swoją! — przez łzy błagała.

— Córko moja! — powtórzył za nią głucho i w głęboką popadł zadumę: pozwolił się pieścić długo, długo w niemem uścisku.

A gdy przyszedł do siebie, gdy otrząsnął się z wrażenia, gdy ją uspokoił ostatecznie, wypytywać zaczął troskliwie, komu wychowanie i wykształcenie swe zawdzięcza. Wyznał jej, że i on po szesnastu latach niepamięci, wiedziony zbudzonym w duszy głosem poczucia winy i obowiązku, zjawił się dziś po raz pierwszy na tym cmentarzu na opuszczonym grobie tej, która mu najlepsze chwile w życiu miłością swą rozjaśniła, która dawała mu takie chwile radości, jakich nigdy później nie zaznał.

— Mów mi o matce mojej — błagała, tuląc się do niego — mów, ojcze, dużo, dobrze, dobrze mów o matuchnie, ojcze, ojcze! — powtarzała ten wyraz z dziecinną, niewinną radością.

I mówił: dobroć jej wychwalał, urodę z uwielbieniem opisywał, przymioty serca i ducha podnosił.

A dziewczyna, zasłuchana w drżenie głosu jego, z tem większem umiłowaniem zwracała oczy ku niemu.

I długo, długo nie milkła rozmowa.

. . . .

Zaczęło się ściemniać! Cmentarz pustoszał, cichł, a tem samem w uroku swym potężniał, bo wśród tej ciszy, wśród tego zmierzchu zawodzący rzewnie wichr i te migocące świateł miliony jednoczyły się w jeden wielki, ogromniejący z każdym akordem hymn, który miasto umarłych w tajemną majestatyczną oblekał szatę...

— Ojcze! dobrze tu przy grobie matusi — przerwała dłuższą chwilę milczenia dziewczyna — dobrze, lecz pójdźmy już, pójdźmy, bo tu wokoło straszno tak i ponuro...

— A gdzież mieszkasz? — zapytał.

— W tem mieście — nigdzie; przyjechałam tu dziś w południe sama, by wieczorem odjechać do opiekunów, lecz skoro ciebie odzyskałam, zabierzesz mnie, ojcze, ze sobą — nieprawdaż? zabierzesz — szeptała, wyciągając ku niemu dłonie, by znów go opleść w uścisku...

Lecz wyciągnięte ręce opadły nagle bezwładnie — mężczyzna zmienił się do niepoznania; na blade czoło jego występować zaczął pot kroplisty, nogi chwiać się pod nim poczęły, a drżące usta wyrzuciły słowa:

— Nie możesz jechać ze mną!

— Czemu? wszak córka-m twa!

— Nie możesz! mam inne córki, mam inną żonę — nie możesz — mówił urywanym coraz przytłumionym głosem — toby mi spokój bardziej jeszcze zamąciło, a ja na grobie twej matki spokoju chciałem szukać, ukojenia, bo w domu, jaki sobie urządziłem, nie mam go, nie mam, niestety! — otuchy szukałem — nie nowych utrapień...

Zofia słuchała, jak odrętwiała, jakby nie zrozumiała słów do niej zwróconych.

— Musisz jechać tam, skąd przybywasz, nie mówić o mnie nikomu — rozumiesz — nikomu i...

— I...

— I zapomnieć o mnie, zapomnieć! — kończył.

— Zapomnieć!... Podły!... podły!... nikczemny!... zawołała rozpaczliwie, wyrzucając z ust słowa, które po raz pierwszy może zrodziły się w jej duszy.

— Podły!... powtórzyła raz jeszcze i, ukrywszy twarz w dłoniach, runęła bez zmysłów na grób matki...

. . . .

Gdy do przytomności przyszła — ujrzała wokół siebie pustkę i ciemność.

— Był-że to sen? — zbierała myśli, kojarzące się w nieładzie — był-że to sen? widziadło? przywidzenie?... — pytała siebie...

A wicher, by zawrotną falą ciągle miotany, wkładał jej w uszy złowrogi zimny okrzyk:

— „Na tym grobie otuchy szukałem — nie utrapień.“

. . . .

A ona powtarzała te słowa, jak echo — bo wszak i ona otuchę na mogile matki znaleźć chciała.

Migawki teatralne.

Biedna ta operetka!... Znęca się nad nią, kto „z kraja“: i muzyk, co to skończywszy dwa miesiące we Wiedniu „pod konserwatoryum“, obecnie w pocie czoła „siedzeniem“ (wyrażenie ś. p. Mikulego) komponuje płody reminiscencyi — i dyletant, który raz w życiu nawet popełnił sam „nieśmiertelną jednodniówkę“ operetkową w trzech aktach — i różni inni „purytanie“ obyczajowi, piorunujący w pismach na operetkę, a propagujący w życiu — tingle!...

I niby ta operetka, usuwająca się już tą swoją małą wartością, niegodna, miana prawdziwej „sztuki“, z pod poważnej krytyki — ciągle stanowi żer pożądany dla onych wielkich augurów — Kalchasów!...

A to muzyka banalna, a to treść niemożliwa, a to styl za słaby, a to, a owo — a mimo to piszą i piszą, aż im pióro pryska... ale sami nie ugryzą nawet i takich kompozycyi, jak te operetki, nie mówiąc już o osiągnięciu takich sukcesów, podobnej popularności, jaką zdobyły sobie „Wesoła dwójka“, „Słodka dziewczyna“ i inne te „wyklęte“ a odsądzone od czci utwory „nic nie wartych kompozytorów“...

O cóż idzie?... Operetka niema pretensyi do wielkości; — czy nie byłoby więc słuszną rzeczą osądzać ją lekko, pobłażliwie — a nie wyłazić na wysokiego konia, z którego nawet źle się wydaje niejedna mucha krytyczna?...

Wiedeń — a jeszcześmy mu nie dorośli... ma osobną miarę do oceny rzeczy małej wartości, i dlatego szuka w operetce nie głębokości Bacha, nie wytworności Szopena, ani ogromu Meyerbeera — ale powiada: muzyczka miła, libretto mniej czy więcej zabawne... i koniec!...

My jednak — my wielcy — znakomici przeważnie tylko w odsądzaniu drugich... w znęcaniu się nad charłactwem nawet — my inaczej!

Na złość przecie fałszywym prorokom świętoszkostwa — publiczność szeroka chodzi na operetki, bawi się wybornie, nie wymaga nic nad możliwość i poziom „wielkości“, na której lekka stanęła Muza — i operetka stanowi bądź co bądź najpoważniejsze źródło dochodów teatru lwowskiego.

Nie ujmując dramatowi jego pierwszorzędnego znaczenia i nie usuwając opery na drugi plan — nie przestaniemy jednak twierdzić stanowczo, że „niezepsuty“ nie zepsuje się na operetce — a w każdym razie zabawi po ciężkich mozołach życia powszedniego...

. . . .

Dajemy dziś podobiznę jednej z najznakomitszych przedstawicielek tej „wesołej Muzy“ — p. Kliszewską. Znacie ją wszyscy; zna ją Kraków, Lwów i Warszawa — zawdzięczacie jej niejedną serdecznie przyjemną chwilę zabawy — a truciznę można zażyć na pewnik, że mniej zgorszenia zaszczepiły w społeczeństwie naszem jej lekkie piosenki — niż... (arcydzieło zapewne!) „Złote runo“ – dramat poważny!...

Nie przesadzajmy panowie!... Miara we wszystkiem — a nie pozować!... Wszystkiego potroszę nie zawadzi... *Nowościarz.*



Karolina Kliszewska.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

5 (Ciąg dalszy)

— Trudno sprzeczać się z głupcem! — odparł niecierpliwie starzec — ale trudno, gmin zawsze jest i nieoświecony i uparty! Gdybyś pan był człowiekiem wykształconym, dałbyś sobie z pewnością wytłumaczyć całą sprawę i poznałbyś, jak błędnemi i głupiemi są twoje zapatrywania!

— Pan daruje, ale ja ukończyłem akademickie studya, więc mogę chyba zaliczać się do wykształconych! — odpowiedziałem nieco obrażony tem lekceważeniem ze strony mojego towarzysza.

— Skończyłeś pan studya akademickie? — zapytał mnie żywo starzec — o! więc w takim razie jestem niezmiernie ciekaw, co pana sprowadziło na drogę tak pospolitych zbrodni, jak kradzieże i rozboje. Czy nie mógłbyś pan opowiedzieć mi swej historyi?

Spojrzałem w jego oczy błyszczące ciekawością i pomyślałem sobie, że chyba to mi nic a nic nie zaszkodzi, jeśli ten tajemniczy starzec pozna dzieje mojego żywota.

Byłem w jego rękach. Lepiej więc było spełnić takie drobne żądanie jego, niż pokrywać tajemnicą to, co ostatecznie mógłby się i bezemnie skądinąd dowiedzieć.

Bez wahania więc zacząłem mu opowiadać.

— Należałem do bardzo uzdolnionych dzieci i dlatego mój ojciec, który był bardzo zamożnym człowiekiem, nie szczędził wcale kosztów na moje wykształcenie. Uczyłem się chętnie i łatwo, a co więcej miałem zapał do nauki i wielką żądzę zdobycia prawdziwej wiedzy. Ale nie trwało to długo. Ojciec, zaślepiony we mnie, dawał mi dużo pieniędzy i te pieniądze były przyczyną mojej zguby. Wpadłem w złe towarzystwo młodych ludzi, choć swoją drogą starszych odemnie. Pan wiesz, co zwykle dzieje się w takich wypadkach. Rozrzucałem pieniądze garściami na wszystkie strony, a ojciec zamiast zapobiedz mym wybrykom, dawał mi wszystko, czego tylko od niego zażądałem. W trakcie tego zaskoczyła go śmierć i ja zostałem spadkobiercą wcale znacznego majątku. Teraz już nie miałem żadnego hamulca, nie krępowały mnie żadne względy. W krótkim czasie strwoniłem cały majątek, bo nie zadawalałem się wydawaniem samych procentów, lecz traciłem i kapitały. Pewnego poranku byłem zrujnowany, nie miałem złamanego szeląga w kieszeni...

Zacząłem robić długi. Przychodziło mi to z łatwością tem bardziej, że ludzie nie wiedzieli jeszcze o istotnej prawdzie, o tem, że pożyczałem, nie mając najmniejszej perspektywy oddania zaciągniętych pożyczek. Ale długo tak przecie żyć nie mogłem. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Wkońcu ludzie poznali się na mojem położeniu.

Osiadłem na lodzie. Do pracy brać się nie chciałem i nie mogłem, tak byłem od niej odzwyczajony, a żyć chciałem i to żyć dobrze.

Starzejąc się tak ze szczebla na szczebel, gdy uczciwi i porządni ludzie zaczęli obracać się do mnie plecami, szukałem znajomości wśród szeregu tych indywiduów, których egzystencya jest bardzo niewyraźną, którzy są w niemałym kłopocie, jeśli ich ktoś zapyta o źródła dochodów.

Jeden z tych moich nowych znajomych szczególnie mi przypadł do smaku. Średnio wykształcony i bardzo oczytany, umiał — jak to mówią — znaleźć się elegancko, posiadał dobre ułożenie. To też niemało zdziwiłem się, kiedy po lepszem naszem zapoznaniu się, oświadczył mi wprost, że jest włamywaczem. Byłem bez pieniędzy, więc gdy pewnego razu zaproponował mi udział w swojej „robocie“, przyjąłem go bez wahania. Cała moja rola w tej wyprawie ograniczyć się miała na pilnowaniu i śledzeniu kręcących się po ulicy przechodniów. Zapewne niezbyt dobrze wywiązałem się z mego zadania, skoro zauważono nas. Towarzysz mój dobrze obeznany z miejscowością i przyzwyczajony do niespodzianek ze strony policyi zdołał uciec, ja zostałem złapany i jako włamywacz skazany na dwa lata ciężkiego więzienia!

Skończywszy to opowiadanie, westchnąłem głęboko z żalu za utraconą bezpowrotnie młodością, której tak źle użyłem.

Starzec przysłuchiwał mi się z wielką uwagą, a gdy przestałem mówić, powstał z fotelu i kładąc mi rękę na ramieniu, odezwał się:

— Słuchaj pan! Słowem honoru zaręczam panu, że ci ludzie, których zwłoki pan widziałeś, nie padli wcale ofiarą transfuzyi!..

— To mi w zupełności wystarcza! — odpowiedziałem spokojnie.

— Jeśli tak jest istotnie, to teraz zapytam pana, czy zechce pan przyjąć mój warunek?...

— Tak! ale wtedy dopiero, gdy mi pan pod przysięgą zaręczy, że nie tylko życiem tego nie przepłacę, ale, że nie poniosę nawet najmniejszego szwanku na zdrowiu!

— Więc przysięgam panu, że nie przepłaci pan ani życiem ani zdrowiem tej operacyi! Jesteś pan bardzo silny i posiadasz tak ogromny zapas krwi, że mały jej ubytek wcale panu zaszkodzić nie może! A w dodatku pomyśl pan tylko, że poświęcisz się dla szlachetnego celu: ratujesz życie bliźniemu!...

Już byłem skłonny do przyjęcia jego warunku, ale ciekawość i chęć dowiedzenia się wszystkiego jak najdokładniej, paliła mnie jeszcze,

— A ile człowiek krwi posiada? — zapytałem ciekawie.

— Hm! — odezwał się starzec — normalny człowiek posiada zwykle tyle krwi, ile waży trzynasta część całego jego ciała... Pan masz mniej więcej około stu pięćdziesięciu do stu siedmdziesięciu funtów wagi, więc powinieneś mieć do trzynastu funtów krwi...

— Dobrze, a ileżby jej pan za każdym razem potrzebował?

— No! najwyżej pół funta!...

— Wytrzymałbym zatem tylko dwadzieścia sześć takich operacyi, a potem musiałbym się pożegnać z tym światem!...

— Dlaczegoż to?!.. Wszak między jedną a drugą operacyą upłynie tyle czasu, że natura tę chwilową stratę pokryje, jeśli tylko będziesz się pan dobrze odżywiać, a ja ręczę panu, że na niczem nie będzie zbywać ci tutaj!..

— A — szepnąłem półgłosem — więc w takim razie ja będę musiał przez dłuższy czas być pańskim gościem!... C. d. n.

Jeszcze sprawa ks. Ludwiki Koburgskiej.

Sprawa księżny Ludwiki Koburgskiej dotychczas nieukończona, gdyż księżna, jak to wspominaliśmy już, ma dopiero poddać się badaniom psychiatrów francuskich w Paryżu, w ostatnich dniach zajęła znów umysły publiczności, a to z powodu dwóch skarg wniesionych przez grono obywateli węgierskich do najwyższej komendy honwedów, w których podpisani domagali się wytoczenia śledztwa honorowego mężowi księżnej Ludwiki, księciu Filipowi, z powodu zachowania się jego w stosunku do żony.

Obie te skargi ułożone w tonie bardzo ostrym, wyliczają cały szereg przewinień księcia Filipa i w dowodach częścią powołują się na oświadczenia, jakie w sprawie porucznika Matachicha, uczynił w parlamencie austryackim poseł Ignacy Daszyński, częścią zaś, opierają się na opowiadaniach księżny Ludwiki, podanych ostatniemi czasy przez francuskich reporterów w paryskich dziennikach.



Jeszcze sprawa ks. Ludwiki Koburgskiej: Ks. Filip Koburgski.

Sprawa o tyle była ciekawą, o ile, gdyby komenda uznała księcia Filipa za członka domu panującego, podpisani musieliby zostać oskarżeni o obrazę majestatu.

Cała jednak historya, zapowiadająca się tak senzacyjnie, skończyła się na niczem, gdyż komenda honwedów złożyła oświadczenie, że skarg tych nie myśli brać pod rozwagę, a postępowanie swoje umotywowała tem, że na obu skargach, „podpisy są albo wyłudzone, albo też sfałszowane“.

Należałoby więc teraz czekać, czy policya, a względnie sądy węgierskie niewystąpią przypadkiem przeciwko owym, którzy podpisy te wyłudzili, czy też sfałszowali.

Zdaje się jednak, iż wszelkie oczekiwania w tym kierunku będą bezskuteczne, gdyż afera ta jest wielce drażliwa i sferom decydującym bardzo wiele zależy na tem, aby raz przecie przestano o niej mówić, aby dalej niebłąkała się już po szpaltach dzienników...

Czy więc istotnie winny, czy też naprawdę niewinny książe Filip Koburgski może spać jeszcze zupełnie spokojnie!

Umarłym — żywi...

Umarłych miasto w fali świateł tonie,
W cmentarnej ciszy życia biją tętna –
Żyjąca ludzkość umarłych pamiętna,
Modląc się na nich, w niebo wznosi dłonie...

Z poszumem wiatru modlitwy szept leci,
Z rosą mieszają się żalu łez zdroje —
To każdy straty opłakuje swoje,
To za swych ojców westchnienia ślą dzieci...

Umarłych pamięć dzisiaj święcą żywi,
Na ich grobowcach klękając w pokorze,
A czując groźne przeznaczenie boże,

Na cześć ich w duszy swojej hymny nucą,
Pomni, że, chociaż są dzisiaj szczęśliwi,
Jutro, jak tamci też w proch się obrócą!...

Kazimierz K.

TĘGA Z MOCNĄ.

Humoreska z życia.

Malutka pani radczyni X. zapragnęła zeszłego roku przepędzić lato na świeżem powietrzu, a mianowicie tak to jakoś urządzić, żeby się nie rozłączać z kochanym i kochającym mężulkiem, który jako urzędnik sądowy, w tym właśnie roku nie otrzymał urlopu.

Jakże zatem? Ha no — w prosty sposób: najęła sobie mieszkanko letnie na Prądniku czerwonym, skąd pan radca biegał codziennie do urzędu i dokąd wracał wieczorami w objęcia milutkiej żonusi.

Oczywiście zabrali państwo X. ze sobą i Magdusię, kuchareczkę o zaokrąglonych konturach i przysadkowatej figurce, dziewczynę prostą, sielską i... anielską — o tyle, o ile pokaże się w dalszym ciągu tej historyjki...

Biedna ta dziewczyna — mimo zdrowiem tryskającego wyglądu, cierpiała bardzo — ktoby to przypuścił? — cierpiała... na migrenę, która pochwyciwszy, rzucała swą ofiarę na parę godzin o łóżko!...

Pani radczyni, zdrowa i pulchna jak pulpecik, od samego poranku przesiadywała w ogrodzie, kołysząc się na bujającem krześle i wdychając jak najwięcej owego tak bardzo jej potrzebnego powietrza — Magdusia zaś szła z koszykiem na kupno i gotowała obiady — o ile na to częsta migrena pozwalała — wcale znośnie.

Sąsiadów nie przyjmowało się żadnych — dla świętego spokoju — tem samem i na wizyty nie wychodziło się wcale; a mimo to... szczególna rzecz! Począwszy od starej plotkarki, a śmiertelnej pani radczyni nieprzyjaciółki, doktorowej Z. prawie każda z przechodzących po pod willą osób przystawała na chwilę przed sztachetami, badawczo wpatrując się w siedzącą na werandzie panią radczynię...

Zaintrygowało to ją niepomiernie — ale trudno zabronić komuś patrzenia...

Tymczasem z Magdusią było coraz gorzej. Nieznośna migrena zaczęła tak często powtarzać swoje ataki, że już dwa obiady musiała pani radczyni gotować sama, podczas gdy biedna kuchareczka leżała na swojej pościeli jak nieżywa!

Aż tu pewnego razu sam pan radca, zeszedłszy po coś tam do piwnicy, spostrzegł w kącie flaszkę... Flaszka do połowy napełniona jakimś płynem, zaciekawiła jegomościa; patrzy pod światło — zawartość bezbarwna; wącha — coś niby spirytus; kosztuje — a to sznaps!

Sznaps! ordynarna „chasse de cartofléе“ ze sporą domieszką okowity!...

Nie było wątpliwości co do osoby, która postawiła w piwnicy ten eliksir życiowy!... Cicho zatem — sza!... wieczorem tego samego dnia flaszka wypróżniona — a Magdusia w boleściach migrenowych bez pamięci na „szlabanie“!...

W dwudziestuczterech godzinach nastąpiła metamorfoza: Magdusię zastąpiła Julcia, której pierwszego dnia trzeba było pokazać źródła zakupu, między innemi także i sklep korzenny, gdzie brało się wszystkie do gospodarstwa potrzebne ingredyencye.

Kupiec nie zdziwił się wcale zaszczytem ujrzenia samej pani radczyni w swoim lokalu, wiedział już bowiem o zmianie służącej — jakkolwiek nie znał tego faktu przyczyny.

Skłonił się tedy uniżenie, namierzył i naważył żądane wiktuały — a układając je w kosz na ladzie stojący i spostrzegłszy znajomą sobie flaszkę, (którą nawiasem mówiąc oczyszczono na ocet) chwyta ją i powiada półgłosem do pani X.:

— Pani dobrodziejka rozkaże tej samej?

— Jakiej, tej samej? Co pan przez to rozumie?

— No... tej, co zawsze! — szepce dalej zbity z tropu kupiec widząc, że parę obecnych osób uśmiecha się znacząco.

— Ależ ja pana naprawdę nie rozumiem — mówi znów pani X.

Tu już kupiec nachylił się do samego ucha pani radczyni i szepnął:

— Tęga z mocną?... Co?

Radczyni zrobiła jeszcze większe oczy:

– Jaka tęga z mocną?... co to jest? – spytała.

— Przecież pani dobrodziejka bierze ją codziennie od miesiąca prawie, a poprzednia służąca powiadała, że bardzo pani smakuje ta wódczana kombinacya.

— Ja?!... ja — wódkę? co pan plecie?

— A tak — proszę pani! Służąca prosiła zawsze, żeby prędko nalewać, bo pani nie może się doczekać, że pani bardzo niecierpliwa.

— Ja? ja?...

— Tak jest! nawet pani doktorowa Z. była raz przy tem i pomimo, że przyszła do sklepu przed pani służącą, słysząc o tej niecierpliwości pani, ustąpiła jej pierwszeństwa!

. . . .

Pół omdlała opuściła pani radczyni lokal usłużnego kupca — a za tydzień sprowadziła się z powrotem do Krakowa, rezygnując ze świeżego powietrza...

Podobno na drugi rok znów gdzieś wyjedzie na lato – ale na Czerwony Prądnik: „nigdy w życiu“ powiada!...

Pablo.

Kącik humorystyczny.

La donna e mobile.

„Kobieta zmienną jest“
Przysłowie mówi nam
Lecz, że w tem prawdy brak
Dowody złożę wam!...

Mam żonkę... Boże mój!
Od kiedym poznał ją
(Po ślubie w cztery dni)
Już była zawsze złą!...

W pokorze znoszę krzyk
I jej łajania wciąż:
— „Mężczyzna! patrzcie go!...
„Niedojda, a nie mąż!...“

„Kobieta zmienną jest“
Powiada z śmiechem świat —
A moja łaje mnie
Bez przerwy dziesięć lat!...

W przysłowiu otóż tem
Zupełnie prawdy brak,
Choć ja zmienności tej
Pożądałbym raz tak!...

Sfinks.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

1.

Pierwsza zwykła sobie głoska
W każdej gramatyce,
Oprócz tego też stanowi
Ważny ton w muzyce.
Druga trzecia — jeśli związek
To w szlachetnym celu,
Wtedy śmiało doń należeć
Możesz przyjacielu.
Czwarta wspak naliczysz mnóstwo
W każdej armii świata —
Całość zwierzę: chodzi, pływa,
Lecz w górę nie wzlata.

2.

Pierwsza wstecz zwyczajna głoska;
Druga (również wstecz)
Znajdziesz wiele pośród dziewcząt —
Więc nie trudna rzecz.
Trzecia rzeka to wspaniała,
Strumień wszystkim znan;
Całość suknia — zawsze czarna.
Proszę! zgaduj pan!...

3.

Pierwsza, czwarta, trzecia szukaj
Przy każdej fabryce;
Druga znajdziesz w abecadle,
A także w muzyce.
Całość wprawdzie włoskie słowo,
Lecz tak używane,
Że kto liznął coś z muzyki –
To mu będzie znane.

Za rozwiązanie rebusa i trzech powyższych szarad przeznacza się: „Wielki król Patacake“, powieść-satyra — w trzech egzemplarzach dla trzech wylosowanych.

Rozwiązanie z numeru czwartego damy dopiero w numerze następnym, ażeby zadość uczynić Szan. Czytelnikom, żądającym dłuższego terminu do rozwiązywania.

Pierwszorzędna Pracownia Sukien Męskich

Leona Grabowskiego właściciel firmy: Gabryel Grabowski

Telefon Nr. 561. **w Krakowie, ul. Szpitalna l. 36.** Telefon Nr. 561.

2—5

Materyały i krój angielski. — Wykończenie artystyczne.

Bank Galicyjski dla Handlu i Przemysłu

w Krakowie, Rynek gł. L. 25

Przyjmuje wkładki w rachunku bieżącym i czekowym.
Przyjmuje wkładki na książeczki wkładkowe, oprocentowując złożone kapitały po $4^{1}/_{4}\%$. Oprocentowanie rozpoczyna się z dniem następnym po złożeniu wkładki a kończy się z dniem poprzedzającym podjęcie wkładki.

Podatek rentowy opłaca Bank z własnych funduszów.

Udziela kredytów w rachunku bieżącym za podkładem papierów wartościowych.
Przyjmuje papiery wartościowe celem przechowania.
Załatwia inkasowanie weksli w miastach krajowych i zagranicznych.
Kantor wymiany: Kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety po najdokładniejszym kursie dziennym, nie licząc żadnej prowizyi.
Uskutecznia wszelkie zlecenia wchodzące w zakres czynności bankierskich, tudzież **zlecenia giełdowe** tak w kraju jakoteż zagranicą pod najkorzystniejszymi warunkami.
Wystawia akredytywy na wszystkie znaczniejsze miasta zagraniczne.
Wypłaca wszelkie kupony i wylosowane papiery wartościowe.

Zlecenia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą bez doliczenia jakiejkolwiek prowizyi.

Obok Kantoru wymiany znajdują się

Pancerne depozytowe Kasy bezpieczeństwa (Safe deposits)

do dyskretnego przechowania depozytów prywatnych **pod własnym kluczem.**



FABRYKA CUKRÓW i HERBATNIKÓW

JANA HÖFLINGERA

we Lwowie, ul. Teatralna l. 8 (pl. św. Ducha)

w domu własnym

poleca **czekoladę Mickiewiczowską** w postaci medalionów **sztuka 20 hal.**

Dochód cały z rozsprzedaży pierwszych 10.000 sztuk na rzecz pomnika Mickiewicza we Lwowie

Dla PP. Kupców znaczny rabat.

Herbatniki sławne warszawskie 1 klg. K 3·60.
Cukry deserowe znakomite 1 „ K 4·40.

Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą.

Założona w roku 1836

Fabryka spirytusu, rumu, rosolisów i likierów

pod firmą

Salo Goldfrucht

w Zniesieniu obok Lwowa

poleca znakomite wódki polskie, jak: kontoszówka, żytniówka, starka, koniak żytni 10-letni, ratafia, roztopczyn, z 1864 roku śliwkówka, gruszkowa, aprikotin i t. p. Wszystkie krajowe i zagraniczne rumy, jakoteż koniak francuski i śliwowicę węgier.

Wysyłka pocztą w 5-kilowych flaszkach blaszanych. Cenniki wysyła gratis i franko. 1—?

NAJWIĘKSZY ZAKŁAD POGRZEBOWY

JANA WOLNEGO

jedyny w Krakowie, posiadający

własną Fabrykę Trumien, wielki wybór Trumien metalowych i z drzewa.

Główny skład przy ulicy św. Tomasza l. 4, tuż przy Placu Szczepańskim, telefon Nr. 331. — Filia przy ulicy Kopernika L. 6. 2—14

Zakład urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych ze znaną ścisłą punktualnością, uchylając pozostałej rodzinie wszelkich trudów. — Zakład podejmuje się przewozu i sprowadzania zwłok ze wszystkich krajów Europy. **Ceny możliwie najniższe, na żądanie spłata ratami miesięcznie.** Katakomby (groby Wieczyste) do przechowywania zwłok tymczasowo lub do odstąpienia na wieczysty spoczynek.

Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“

we Lwowie

ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“

1—? **Lwów, Sykstuska 6.**

P. T.

Mam zaszczyt zawiadomić, iż od dnia 15 Października b. r. począwszy, odstępuję swój lokal na I-szym piętrze

bezpłatnie

na wszelkie zebrania towarzyskie, familijne, jak również na uczty weselne ciche (bez tańców).

Pokoje jasno oświetlone i opalone. Fortepian do dyspozycyi P. T. Gości.

Również w lokalach restauracyjnych na parterze odbędzie się od 15 października br.

codziennie Koncert

kwartetu salonowego.

Z poważaniem

Gustaw Goldstein

ul. Karmelicka 4.

Ulica Bracka L. 5

Skład i Pracownia Futer

pod firmą

A. Armatys i Sp.

Kraków, ulica Bracka l. 5

poleca: futra męskie i damskie, podróżne i miastowe, garnitury dziecięce, czapki i kapelusze damskie oraz męskie.

Kolie w najnowszych fasonach

towar tylko pierwszorzędnej jakości

Przyjmuje się roboty pod najprzystępniejszemi warunkami, wykonanie dokładne i spieszne.

Zamówienia na prowincyę odwrotnie

Przyjmuje się futra na lato do przechowania.

Ceny niskie.

Porębski & Zimler

w Krakowie Rynek L. 8

Magazyn towarów drobiazgowych

i przyborów do krawieczyzny

polecają

Nowości w tych działach na sezon jesienny i zimowy.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka i Ski w Krakowie, ul. Zielona 7